

WYDARZENIA str. 4

Wandale i cwaniacy są nagrywani, a mimo to się nie boją



CZYTELNIA GŁÓWNA

OPINIE str. 7

Bieszczady. Czym są? Czym były? Czym będą?



HISTORIA str. 10

Tryskające czarne złoto



3.00 zł (w tym 5% VAT) / NR 14 (725)

ISSN 1231-9333



GAZETA BIESZCZADZKA

Rok XXXI/9.07.2021 r.
ISSN 1231-9333 INDEKS 323659
Nakład 1500 egz.

C Z A S O P I S M O • R E G I O N A L N E
www.bieszczadzka24.pl

Tęczowi ludzie w zielonej dolinie

Reportaż - s. 8

! RACHMISTRZ BĘDZIE DZWONIĆ Z NUMERU TELEFONU 22 828 88 88

Możesz sprawdzić jego dane:

- na stronie internetowej rachmistrz.stat.gov.pl/formularz
- dzwoniąc na infolinię spisową 22 279 99 99



👍👎 Liczymy się DLA POLSKI!

GUS

ODMOWA udziału w spisie powszechnym grozi karą grzywny!



spis.gov.pl

GUS

+ - Liczymy się DLA POLSKI!
x ÷

Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań 2021

GUS Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań 2021

BO PAŃSTWO chce o nas wiedzieć WSZYSTKO

- czytaj na str. 3

REKLAMA

PELLET DRZEWNY



- ♦ GWARANTOWANA WYSOKA JAKOŚĆ
- ♦ NISKA ZAWARTOŚĆ POPIOŁU
- ♦ PRODUKT PRZYJAŹNY ŚRODOWISKU
- ♦ PAKOWANY W WORKI 15 KG LUB W WORKI BIG BAG



Krościenko,
38-700 Ustrzyki Dolne
13 461 14 69

www.dankros.com
dankros@dankros.com

FREZOWANIE ROZWIERCANIE KOMINÓW

Wkłady żaro - kwaso odporne
sprzedaż - montaż

+48 604 500 288

www.rozwiercaniekominow.pl



AUTOMATYCZNE UKŁADY NAWĘGLANIA



PODAJNIKI NA:
EKOGROSZEK, MIAŁ, PELLET, OWIES.
OD 12KW DO 150 KW

+48 605 530 288



Reklama w Gazecie Bieszczadzkiej względnie tania bezwzględnie skuteczna
tel. 13 461 13 22
Zapraszamy



Na granicy w Krościenku wielkiego ruchu nie ma. Ale wkrótce może się to zmienić

Podróżni szykują się na zwiedzanie i na handel

Przejście graniczne z Ukrainą w Krościenku znowu jest czynne. Można się wybrać na zakupy czy w turystykę, ale trzeba przedstawić dokument potwierdzający szczepienie przeciw COVID-19.

Aby wjechać na Ukrainę polscy obywatele muszą okazać odpowiednie ubezpieczenie, negatywny wynik testu PCR albo testu antygenowego w kierunku COVID-19, który musi zostać przeprowadzony w ciągu 72 godzin przed przekroczeniem ukraińskiej granicy. Można też pokazać dokument potwierdzający zaszczepienie dwoma dawkami przeciwko koronawirusowi. Jeśli ktoś nie spełnia tych warunków, nie wjedzie na Ukrainę.

Zbiorowo wygodniej i bezpieczniej

Przed pandemią polscy podróżni, zwłaszcza ci z przygranicznych miejscowości, regularnie odwiedzali Ukrainę. Część osób jeździła wyłącznie na zakupy, głównie po tańsze paliwo, inni również w celach turystycznych. Wycieczki do Lwowa były tak popularne, że biura podróży musiały odmawiać wielu chętnym. Część osób wybierała własny transport, jednak zdecydowana większość wolała podróżować zbiorowo. Tak było wygodniej i bezpieczniej, w dodatku z opłaconym przewodnikiem.

Znowu notujemy duże zainteresowanie wycieczkami do Lwowa – informuje Anna Buk z Biura Podróży „Pawuk” w Zagórzcu. – 1 lipca nasz autokar zawiązał dużą grupę na zwiedzanie Lwowa. Miasto nie jest jeszcze oblegane przez turystów, ale to się pewnie wkrótce zmieni. Jednak na przejściu w Krościenku byliśmy tylko my, żadnych innych autokarów czy busów.

Zdaniem Anny Buk dorośli w



1 lipca 2021 roku. Pustki przed szlabanem. Rano przejechał tylko jeden autokar wycieczkowy i parę osobówek FOT. LUKASZ BAIDA

większości mają certyfikaty szczepień, gorzej z dziećmi. – I w takim przypadku niekiedy rodzice muszą rezygnować z wyjazdu na Ukrainę, bo bez potwierdzenia szczepienia nikt takich dzieci nie wpuści.

Człowiek się przyzwyczaił i odzwyczaił

Mimo że przejście w Krościenku czynne jest od kilkunastu dni, ruchu przed szlabanem rzeczywiście nie widać. Nieliczni podróżni szybko przechodzą odprawę. Dlaczego granica nie jest, jak dawniej, oblegana? – Na razie nie jeżdżę, wciąż boję się zakażenia – mówi pan Władysław, przed wybuchem zarazy stały bywałec na Ukrainie. – Wprawdzie jestem zaszczepiony, ale wolę dmuchać na zimne. Tam, po wschodniej stronie, za wiele nie wiadomo, więc poczekam, aż się całkiem uspokoi.

– Kiedyś regularnie przekraczałem granicę, żeby taniej zatankować, ale teraz jakoś mi przeszło

– mówi emerytowany kierowca zawodowy z Ustrzyk Dolnych. – Za dużo czasu minęło od zamknięcia przejścia, to człowiek się odzwyczaił. W dodatku tankowanie za miedzą nie jest już tak opłacalne jak dawniej. W stosunku do polskich cen to różnica zaledwie złotówki na korzyść Ukrainy. Szkoda szarpać sobie nerwy przy odprawie.

Pan Roman, były przedsiębiorca budowlany, a obecnie bezrobotny, cieszy się, że znowu wyruszy na wschodnią stronę. – Nie po to, żeby zarabiać na handlu alkoholem, bo to obecnie żaden zarobek, tak samo jak na papierosach, ale z mojej pasji zwiedzania bliskich mi rodzinie stron. Odwiedzam nie tylko Lwów, także Sambor, Dobromil, Chyrów. Spaceruję, rozmawiam z Ukraincami i Polakami, popijam kawę i czuję dobrze tamten wschodni klimat. A przy okazji coś tam przywożę do domu, taką drobnicę, jakieś piwko, winko.



Kiedyś do przejścia granicznego w Krościenku ustawiały się długie kolejki, a czas oczekiwania na odprawę sięgał nawet kilku godzin FOT. KRZYSZTOF POTACZKA

Ukraińców też na lekarstwo

Większego ruchu nie ma też po ukraińskiej stronie granicy. Do Polski jadą nieliczne samochody, głównie osobówki. Podróżni spoza strefy Schengen, chcący wjechać na terytorium RP, muszą być przygotowani na obowiązkową kwarantannę. Nie zwalnia z niej nawet negatywny test wykonany w kierunku wirusa SARS-Cov-2.

Na granicach zewnętrznych Unii Europejskiej z kwarantanny są zwolnione jedynie osoby zaszczepione i ozdrowieńcy oraz określone kategorie osób, m.in. dyplomaci. Dzieci do ukończenia 12 roku życia przekraczające granice zewnętrzne są zwolnione z kwarantanny, jeżeli podróżują pod opieką dorosłych będących osobami zaszczepionymi przeciwko COVID-19.

Od 24 czerwca tego roku, w przypadku podróży z państw nienależących do strefy Schengen lub niebędących państwem członkowskim UE, okres odbycia dziesięciodniowej kwarantanny ulega skróceniu, gdy wynik testu w

kierunku SARS-Cov-2 jest negatywny, a test został wykonany po przekroczeniu granicy Polski w okresie nie wcześniejszym niż 7 dni, licząc od momentu jej przekroczenia. Obowiązek odbycia kwarantanny uznaje się za zrealizowany z chwilą wprowadzenia negatywnego wyniku testu do systemu teleinformatycznego przez medyczne laboratorium diagnostyczne (wykonujące diagnostykę zakażenia wirusem SARS-CoV-2).

Na targowisku jeszcze spokojnie

Na ustrzyckim bazarze na razie trudno spotkać Ukraińców. Zjawiają się pojedynczo, bo obowiązek kwarantanny skutecznie odstrasza przed przyjazdem. Na Ukrainie wiele osób nie poddało się dotąd szczepieniom, stąd nie mogą liczyć na wjazd do Polski. Ale wkrótce może się to zmienić. Dla niemałej grupy obywateli Ukrainy przygraniczny handel stanowi ważne źródło utrzymania. Nawet teraz, gdy istnieją duże ograniczenia w przewozie towarów przez szlaban.

KP, ŁB

PO CO W TRAWIE PISZCZY

JAKUB DEMEL



Jadą, jadą motocykle

Nim w Bieszczadach – jak w całym kraju – rozpoczął się sezon wakacyjny, związany z pojęciem wakacji szkolnych, już od dawna trwał sezon letni. Podobnie jak to bywa jesienią, gdy w warkot pił spalinowych szukających opał na zimę wkrada się od strony nieba wyraźnie słyszalny klangor ptasich kluczy odlatujących ku cieplejszym krajom – tak już od pierwszych nieśmiałych początków wiosny sygnalizowanych rachityczną jeszcze trawą, z którą dzielnie walczą spalinowe kosiarzki, w ich jazgot wkrada się dźwięk inny, sygnalizowany wprawie pochodzącym z oddali pomrukiem. Jadą motocykle. Pomruk wyraźniej, dźwięk zbliża się, zmienia w hałas o mocy grzmotu i dzieli na sekwencje przypisane już indywidualnie każdej z kilkunastu ryczących głębokim basem maszyn. Kolumna przemieściła się w stronę gór, w stronę wysokich Bieszczadów, w stronę tajemnego

Bieszczadu, by tam w mistycznym skupieniu wstuchać się w jego ciszę.

Motocykliści wjechali na którąś z przełęczy, zgasili silniki, ściągnęli kaski, rozpuścili włosy na swawolny górski wiatr, ogarnęli wzrokiem zachwycającą panoramę, zaczęli wsłuchiwać się w godną legendy bieszczadzka ciszę. Już łowili uchem cichutki chichot Biesów i Czadów, już w tej Krainie Cizy zdało się im słyszeć leciutki szum skrzydeł Bieszczadzki Aniołów, co dobitnie świadczyło, że dotarli do Krainy Łagodności, gdy... Gdy coś delikatnie zaszumiało, jak odległa, kryjąca się jeszcze za horyzontem burza. Głos tu obcy, lecz dla ucha wyjątkowo spod kasku swojski. Nasi, nasi jadą. Forsując serpentyny, polyskując czernią i chromem od przeciwnej strony na kulminację wdrapuje się następna kolumna. Też się tu zatrzymają, by rytualnie posłuchać cizy.

Potem dudnienie przeniesie się w dół. Przełęcz poczeka na kolejnych kilkanaście ryczących maszyn, zaś motocykliści, którzy bieszczadzkiej cizy już dostatecznie się nasłuchali, przeskoczą z Wielkiej Pętli na Małą, by zajrzeć nad wielką wodę Jeziora Solińskiego objętą

strefą cizy. Od strony wody słychać jedynie delikatny łopot żagli, plusk zanurzanych wiosel, zaś od brzegu okolonego asfaltem coraz lepszych, coraz bardziej zachęcających do jazdy dróg... A woda głos niesie, niesie... Daleko i wyraźnie. Niesie wskroś strefy cizy.

Plecakowych wędrowców przemierzających pieszo Bieszczady, łowców cizy, nigdy nie raził zawodzący dźwięk spalinowych pił, klekot gąsienicowych ciągników transportujących drewno, warkot wywrotek budujących leśne drogi, sapanie, gwizd i stukot kół wąskotorówki. To były naturalne głosy lasu, podobnie jak donośne wulgarnie pokrzykiwania wozaków na konie ciężko pracujące przy zrywce. Oczywiście, słychać też było motocykle. Jechał do pracy gajowy, wioził pocztę listonosz, pełnił służbę milicjant i wopista. Wufemki, wueski, eshaelki z jazgotliwym brzmieniem zwawo przemykały obwodnicą, pyrkotały, omijając dziury czarnych smołowych dróg udających szosę, rzeziły po większych, leśnych i polnych drogach. Hałasowały, ale ambicji w sprawie decybeli nie miały zbyt wielkich.

PATRONAT „GB”

Przypomną o Połoninie

17 lipca w Komańczy odbędzie się Jędrusiowy Złaz – impreza poświęcona pamięci Andrzeja Wasielewskiego-Połoniny.

W programie między innymi: odsłonięcie ławeczki upamiętniającej artystę, koncerty zespołów „Bieszczadersi” i „Drink Bar, występ Tomasa Szweda, promocja książki autorstwa Andrzeja Potockiego opowiadającej o życiu legendarnego Jędrka Połoniny oraz tomiku poezji tego samego autora z rysunkami nieżyjącego rzeźbiarza, malarza i rysownika, który większość życia spędził w Bieszczadach. Widzowie będą mogli też obejrzeć film dokumentalny „Requiem dla Jędrka”. Wstęp na imprezę wolny.

W odpowiedziach musimy być szczerzy i mówić też o tym, co dla nas niewygodne

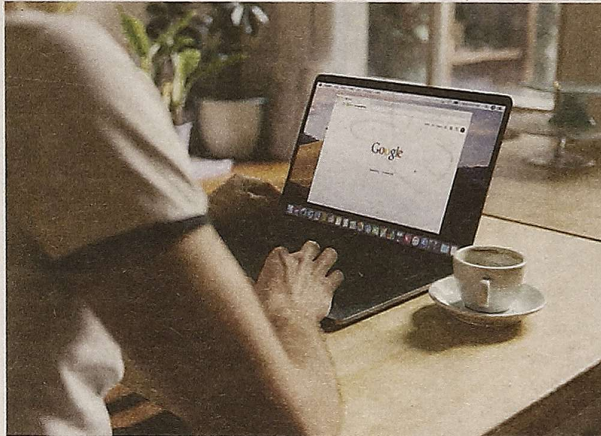
Bo państwo chce o nas wiedzieć wszystko

Już trzy miesiące trwa Narodowy Spis Powszechny, ale nadal wielu Polaków albo o nim nie wie, albo świadomie nie chce wziąć udziału. Tymczasem spis jest obowiązkowy. Za jego zlekceważenie grożą kary finansowe.

Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań 2021 rozpoczął się 1 kwietnia. Początkowo miał zakończyć się 30 czerwca, lecz termin został wydłużony z powodu pandemii do końca września. Celem spisów powszechnych jest zebranie danych statystycznych dotyczących ludności zamieszkującej Polskę. Dzięki uzyskanym informacjom można nie tylko odpowiedzieć na pytanie „ilu nas jest?”, ale też przeprowadzić analizę przemian demograficznych i społecznych, tworzyć prognozy rozwoju kraju. Szczegółowe pytania z formularza spisowego budzą jednak u części osób obawy o ingerencję państwa w prywatność jego obywateli.

Obawy i loteria

Spis powszechny w Polsce odbywa się mniej więcej raz na dekadę. Za jego przeprowadzenie odpowiedzialny jest Główny Urząd Staty-



Wypełnienie formularza spisowego zajmie nam około kwadransa FOT. PIXABAY

styczny. Poprzedni Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań został przeprowadzony w 2011 roku.

Udział w spisie jest obowiązkowy, a niewypełnienie tego obowiązku może skutkować nałożeniem grzywny w wysokości 5 tys. zł. Ten fakt w połączeniu z zawartymi w formularzu spisowym pytaniami szczegółowymi, m.in. o powierzch-

nię zajmowanej nieruchomości i źródło energii używanej do ogrzewania, wywołał kontrowersje wśród obywateli. Przynajmniej pojawiły się obawy, że spis stanowiłby mały wstęp do wprowadzenia podatku katastralnego. Ministerstwo Finansów jednak deklaruje, że nie planuje takich zmian. Wśród około spisowych kontrowersji jest również

kwestia pytania o przynależność religijną, choć w tym przypadku można odmówić udzielenia odpowiedzi.

Podstawową i obowiązkową metodą przeprowadzania spisu jest tzw. samospis internetowy. Aby zachęcić mieszkańców do spisania się, państwo zorganizowało nawet loterię z nagrodami. Mimo prowadzonej kampanii promującej spis, wciąż wiele osób nie spełniło tego obowiązku. Od 23 czerwca pracę rozpoczęli również rachmistrze, którzy mogą zapukać do mieszkań. Spis może być również przeprowadzony telefonicznie. Co istotne – nie można odmówić przekazania danych rachmistrzowi. Każdy z nich ma identyfikator, a jego tożsamość można zweryfikować na stronie internetowej rachmistrz.stat.gov.pl lub przez infolinię spisową (tel. 22 279 99 99).

Co myślą obywatele?

Spis powszechny trwa już trzy miesiące. Wciąż wiele osób zwleka z wypełnieniem kwestionariusza internetowego, inni czekają na wizytę rachmistrza. Pomimo doniesień medialnych i kampanii promocyjnej prowadzonej przez GUS, można spotkać osoby, które o spisie nie słyszały.

- To obowiązek? Sam nie wiem, co o tym myśleć. A swoją drogą, nie mam pojęcia jaką powierzchnię ma dom, w którym mieszkam. Przypuszczam, że dane wszystkich domowników będzie podawać moja teściowa, która jest właścicielką nieruchomości – mówi Bartłomiej, prowadzący jednoosobową działalność gospodarczą.

- Przyznam, że jeszcze dokładnie nie śledziłem tematu, nie widziałem formularza. Ale z tego co słyszę w doniesieniach medialnych, to pytania za bardzo wchodzą w prywatność ludzi. Z pewnością jednak spiszę siebie i rodzinę przez Internet. Spisy powszechnie są potrzebne, bo to element statystyki i na podstawie zebranych danych podejmowane są różne działania ważne dla ogółu. To umożliwia prognozowanie, wyciąganie wniosków, na przykład na temat kondycji społecznej – ocenia Edward, nauczyciel geografii.

- Nie spisałem się i nie zamierzam tego robić. Dla mnie to bez sensu. Przecież każda gmina ma informacje o tym, kto jest zameldowany na jej terenie – mówi Tomasz, pracownik służby zdrowia.

- Nie rozumiem lęku przed spsem. Zaraz na początku podałam wszystkie dane przez Internet. Ludzie jakieś niestworzone rzeczy opowiadają, a w formularzu naprawdę nie było żadnych pytań o poziom zamożności itp. – podkreśla Bożena, właścicielka niewielkiej firmy

- Naprawdę nic nie słyszałam o prowadzonym spisie powszechnym. Może dlatego, że nie oglądam telewizji. – z zaskoczeniem mówi pani Maria, pracująca w niewielkim punkcie gastronomicznym.

Tu znajdziesz pomoc

Szczegółowe informacje na temat spisu są na stronie internetowej spis.gov.pl. Między innymi można się zapoznać z pytaniami zawartymi w formularzu spisowym. Znajdziemy również odpowiedzi na najczęściej zadawane pytania.

LB

Naładuj samochód elektryczny i... rower



Inauguracyjne ładowanie samochodu hybrydowego w Uhercach Mineralnych FOT. ANDRZEJ CZECH

Przy browarze Ursula Maior w Uhercach Mineralnych zainstalowano pierwszą w Bieszczadach profesjonalną stację ładowania samochodów elektrycznych.

Prawdopodobnie jako pierwsza w kraju jest zasilana energią odnawialną z elektrowni fotowoltaicznej na południowej pości dachu budynku browaru.

Stacja powstała dzięki współpracy z Zakładem Pomiarowo-Badawczym Energetyki „ENERGOPOMIAR-ELEKTRYKA” Sp. z o.o. z Gliwic, który dostarczył też oprogramowanie open source, pozwalające na maksymalną elastyczność. To w stu procentach polska firma zatrudniająca zaangażowanych ludzi, co było ważne przy wyborze wykonawcy.

Stacja jest wyposażona w dwa sta-

nowiska do ładowania równoległego o mocy 22 kW każde oraz możliwością ładowania rowerów elektrycznych i innych pojazdów. Po uzyskaniu niezbędnych odbiorów UDT (Urzędu Dozoru Technicznego), stacja jest ogólnodostępna w godzinach pracy Ursula Maior. Została wpisana do urzędowej Ewidencji Infrastruktury Paliw Alternatywnych i umieszczona na mapach. Przy budowie nie korzy-

stano z żadnych dotacji ani innego wsparcia.

Jak naładować pojazd? – Bardzo prosto – odpowiada Andrzej Czech z browaru Ursula Maior, pomysłodawca. – W przeciwieństwie do ładowarek działających w sieciach nasza jest zupełnie niezależna. Kierowca nie potrzebuje żadnych aplikacji, rejestracji i kart. Wystarczy, że zaparkuje na dedykowanym stanowisku, podepnie pojazd, odbierze kartę RFID ze sklepu przy browarze i po skończonym ładowaniu rozliczy się w zależności od ilości pobranej energii. Stację możemy również włączać i wyłączać zdalnie przez internet oraz dokonywać rezerwacji.

Najbliższe stacje wpisane do Ewidencji Infrastruktury Paliw Alternatywnych działają w Rzeszowie. Dzięki uruchomieniu stacji w Uhercach właściciele pojazdów w pełni elektrycznych mogą przyjechać w Bieszczady, podładować je i bez obawy o brak mocy zwiedzać dalsze rejony.

- Myślę, że za naszym przykładem wkrótce pójść kolejni – mówi Andrzej Czech. – Dla nas najważniejsze jest to, że możemy pomóc turystom i zrywamy uzależnienie od paliw kopalnych. Jeśli pojazd bezemisyjny jest zasilany energią z węgla, to cała sprawa traci sens. Dodatkowym plusem będzie zmniejszenie zanieczyszczenia spalaniem. Zasilanie pojazdów elektrycznych energią ze słońca to przyszłość.

MP, KP

Przesłuchania do szkoły muzycznej

Zakończyły się przesłuchania do Samorządowej Szkoły Muzycznej I stopnia w Ustrzykach Dolnych.

Komisji przewodniczył Jacek Nycz, muzyk i dyrektor szkoły. Wspierali go Malwina Zych-Oklejewicz, przyszły nauczyciel teorii muzyki oraz Konrad Oklejewicz, członek grupy „Matragona - orkiestra jednej góry”, gościnnie grający na fletach m.in. w zespole KSU. Przesłuchano blisko 30 kandydatów. Wyniki poznamy jeszcze w lipcu.

Szkoła muzyczna ruszy 1 września tego roku. Będzie się mieścić w budynku byłego Gimnazjum nr 1 przy ul. 29 Listopada (obok hali sportowej). Gry na wybranych instrumentach uczyć się będzie sześćdziesięcioro dzieci w wieku 6-15 lat. Wśród instrumentów znajdują się: skrzypce, altówka, wiolonczela, obój, klarnet, saksofon, akordeon, gitara i fortepian. Kadra będzie złożona z dwunastu pedagogów z całej Polski.

AB

Rujnują zielen i oznakowania, na dziko wysypują śmieci do koszy miejskich

Wandale i cwaniacy są nagrywani, a mimo to się nie boją

- Musimy wreszcie przestać cackać się z tymi, którzy nie szanują publicznej własności – mówią oburzeni mieszkańcy Ustrzyk Dolnych. Od dłuższego czasu „nieznani sprawcy” nieustannie niszczą nowo posadzone drzewka, wylamują tabliczki informacyjne i wyginają znaki drogowe.

- To z pewnością robota gówniarzy, którzy włóczą się po zmroku i wyladują swoją frustrację na tym, co napotkają po drodze – twierdzi starszy mieszkaniec osiedla Gombrowicza. – Niczego nie szanują, bo nikt ich tego nie nauczył.

- Wzdłuż Gombrowicza rosną piękne młode drzewka – włącza się do rozmowy inny emeryt. – Któregoś ranka wyszedłem na spacer z psem, patrzę, a po drzewkach tylko kikuty. Początkowo myślałem, że może to sprawka dzikiej zwierzyny, bo często schodzi z lasu do osiedli, ale te drzewka nie były zjedzone, tylko połamane, wyrwane. Myślałem, że mnie szlag trafi.

- Ile trzeba mieć w sobie głupoty, żeby rujnować wspólne dobro? – pyta retorycznie mieszkanka miasta. – Córka pokazała mi na Facebooku zdjęcia zniszczeń zamieszczone przez burmistrza. Kiedy coś takiego się ogląda i widzi jeszcze film, gdy jakaś kobieta nielegalnie wyrzuca odpady w workach do koszy w rynku, to aż krew się burzy. Nie sposób pojąć takich zachowań.

Powinno być więcej patroli

Niszcząc znaki drogowe, ławek, roślin, tablic informacyjnych to nie novum. Takie przypadki zdarzały się również w poprzednich latach, ale teraz przybrały na sile. Nie ma tygodnia, by ktoś nie dostrzegł, że nocą



Kosz na śmieci w ustrzyckim rynku. To między innymi do niego wrzucono nielegalnie odpady komunalne. Aż odpadło dno...

FOT. ARCHIWUM URZĘDU MIASTA W USTRZYKACH DOLNYCH

jakaś „niewidzialna ręka” znowu coś wyrwała, wygięła, zamazała albo podrzuciła własne śmieci, żeby nie placić za ich wywóz.

- Moim zdaniem powinno być więcej patroli policji – mówi mężczyzna z ulicy Pionierskiej – ale nie takich, które objeżdżają miasto, lecz pieszych. Policjant widoczny na ulicy budzi jednak pewien respekt. Wiem, jak było dawniej, gdy pieszki patrolowały Ustrzykach były codziennością. Mundurowi cho-

dzili po dwóch, mogli zajrzeć w każdy zakątek. I to się sprawdziło. Niedawno widziałem, jak w jakimś mieście policjanci patrolują ulicę na rowerach. U nas tak nie można? Przydałoby się, bo nie mamy straży miejskiej.

- Nie uwierz, że nie da się schwytać tych, którzy niszczą publiczne dobro – twierdzi młoda kobieta z ulicy Dworcowej. – Tylko trzeba wydać walkę wandalom, nie odpuszczać im. A potem suro-



Z tego słupka ktoś wyrwał tabliczkę z wypisaną na niej prośbą o utrzymanie porządku

FOT. ARCHIWUM URZĘDU MIASTA W USTRZYKACH DOLNYCH

wo ukarać. Tacy ludzie nie tylko powinni zapłacić wysoką grzywnę, ale też popracować fizycznie dla miasta.

Niech płacą inni, ja nie muszę

Jeszcze kilka lat temu powszechną praktyką było wysypywanie odpadów z własnych gospodarstw do cudzych śmietników. Tak się działo na każdym ustrzyckim osiedlu, gdzie kontenery na odpady były ogólnodo-

stępne. Po zmierzchu pod śmietniki podjeżdżały samochody, z których kierowcy wyciągali worki z odpadami i szybko się ich pozbywali. Czasami były to dwa pełne duże worki, inny razem trzy lub cztery. Taki proceder trwał długo, nikt nikogo nie złapał za rękę, ale wielu wiedziało, kto wyrzucił śmieci na dziko. Potem wspólnoty mieszkaniowe i spółdzielnie „poszły po rozum do głowy” i zabezpieczyły kontenery. Dzisiaj są one ogrodzone i zamykane na klucz.

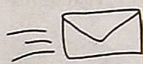
- Bez otwarcia bramki nie da się wcisnąć tam wora, a co dopiero odpadów większych gabarytów – tłumaczy administratorzy. – Osiedla są też monitorowane, więc nawet gdyby ktoś podrzucił śmieci pod kontener, zostanie rozpoznany. I ukarany, bo tu nie może być taryfy ulgowej.

Jest dokumentacja z monitoringu

Burmistrz Ustrzyk Dolnych Bartosz Romowicz jest zbulwersowany aktemi wandalizmu i cwaniactwem w kwestii wyrzucania odpadów. – Dość! Przechodzę do bardziej radykalnych metod. Pod koniec czerwca ponownie przy ul. Gombrowicza wandale zniszczyli posadzone drzewka. Również nasze tabliczki informujące o tym, by nie śmiecić i szanować tereny zielone, zamontowane raptem kilka dni wcześniej, zniszczono w całym mieście. Na dodatek do koszy ulicznych i w ich pobliżu zostały wyrzucone odpady komunalne z działalności gospodarczej i gospodarstw domowych.

- Będziemy – kontynuuje burmistrz korzystać z monitoringu w celu wykrycia sprawców i nagrania z monitoringu publikować. Najpierw z zastosowaniem kamer. Jeśli zainteresowana osoba nie zgłosi się do nas, to z pokazaniem twarzy. I nie chodzi tylko o niszczenie mienia, lecz również o nieprawidłowy sposób zagospodarowania odpadów komunalnych. Dodatkowo zaproponuję Radzie Miejskiej na przyszły rok rozbudowę monitoringu miejskiego. Pewnie wandale nie zdają sobie sprawy, jaki jest koszt zniszczeń, np. jednego drzewka. Często to w praktyce połowa nowej kamery bardzo dobrej jakości.

KP



POCZTA

Dlaczego się zaszczepiłem?

Z niedowierzaniem przeczytałem w „GB” informację, że w mojej rodzinnej gminie Ustrzyki Dolne przeciwko COVID – 19 zaszczepiło się niespełna 20 procent mieszkańców. Nie znam motywów postępowania tej niezaszczepionej większości i prawdę mówiąc nie bardzo jestem zainteresowany ich pozniemem. Dlaczego? Bo decyzji o sposobie ochrony własnego zdrowia nie podejmuję na podstawie opinii głoszonych na forach internetowych, czy też wypowiedzi różnych osób o szkodliwości szczepień, ale na podstawie badań niezależnych instytutów naukowych specjalizujących się w epidemiologii chorób zakaźnych.

Jeżeli mam problemy z samochodem szukam pomocy u mechanika, remont mieszkania powierzam fachowcowi branży budowlanej, a rozliczenia z fiskusem licencjonowanemu specjalście. Dlatego też w sprawach związanych

z moim zdrowiem udaję się do lekarza specjalisty, a nie do najbardziej nawet polecanego znachora. Z tych to powodów zaszczepiłem się w pierwszym możliwym terminie. Podobnie postąpili moi najbliżsi.

Pracuję zawodowo w Bawarii w centrum opieki dla seniorów, w którym stale przebywa stu dwudziestu podopiecznych. Stopień pełnego zaszczepienia, zarówno naszych seniorów, jak i personelu, przekracza 90 procent. Nie znam ani jednego przypadku poważnych komplikacji będących następstwem szczepienia i co jeszcze ważniejsze, pomimo w pełni otwartych drzwi naszego centrum nie notujemy żadnych nowych przypadków zakażeń, a testy kontrolne są przeprowadzane raz w tygodniu.

Każdy z nas ma prawo dbać o zdrowie na swój sposób. Ja wybrałem szczepienie.

Marek Prorok

Refleksje z wizyty w parku narodowym

Trochę nalatałem się w życiu samolotami i zawsze zastanawiałem się, jak też inżynierowie, którzy projektują maszyny, wyobrażają sobie przedniego pasażera klasy ekonomicznej. Ze względu na wielkość siedzeń, musi być to z pewnością osoba pozbawiona łokci, bo łokci zwyczajnie nie ma gdzie trzymać. Z kolei odległość między rzędami siedzeń wskazuje, że przedni pasażer nie powinien mieć również kolan. Chyba, że potrafi wciągać kolana, jak inni wciągają brzuch.

Idąc tym tropem doszedłem do wniosku, że pasażer jest w gruncie rzeczy zbędnym, a nawet niepożądanym elementem systemu. Transport lotniczy działałby o wiele lepiej bez pasażerów. Nie znaczy to rzecz jasna, że pasażerowie nie powinni płacić, o nie. Nie powinni jedynie latać. Gdyby ich rola ograniczała się do zakupu biletu, wszystko byłoby w porządku.

Całkiem podobne myśli nawiedzają mnie, ilekroć odwiedzam Bieszczadzki Park Narodowy. I tym razem czuję się zbędnym elementem systemu, który beze mnie działałby o wiele lepiej. Gdybym tylko zapłacił za bilet i nie wchodził, rozstawił sobie leżak gdzieś w okolicach punktu kasowego

i stamtąd patrzył na góry, wszystko byłoby w najlepszym porządku. A tak?

Bieszczady to naprawdę wyjątkowe miejsce. Po górach nie chodzi się tu na ilość, ale na jakość. Mało kto maszeruje w równym tempie, by – jak to się ładnie mówi – zrobić szlak. Bo szlaki to się tutaj robi dziesiątki razy, wciąż te same i za każdym razem widzi się i przeżywa co innego. Bo ma się czas i zamiast gnać przed siebie, siedzi się, albo leży godzinami patrząc w niebo.

Jednym problem w tym, że tych miejsc, żeby usiąść albo się położyć, jak na lekarstwo. Prawda, nigdy nie było ich zbyt wiele, bo zamiast ławki, na której mógłby przysiąść osobnik będący zbędnym elementem systemu, lepiej wyrychtować schody na Tamię, że o pobliskich szczytach już nie wspomnę. Po co te schody? Nikt nie wie, chociaż – wbrew dobre wszystkim znanemu dialogowi z Misia – niejedem sobie takie pytanie zadaje. Co to, Casino de Paris, czy jak? A jakby turysta się po parku nie włożył, to schody by go w oczy nie kłuły, zgadza się?

Ja tam wolalabym zamiast schodów ławkę. Taką nowitką,

taką co się nie rozlatuje. A najlepiej parę ławeczek. Ot, chodby gdzieś na Wetlińskiej. I ludzie by nie pytali, co to ta ławka, i drewna by się mniej zużyło, prawda?

Jednak drewna zdaje się park ma pod dostatkiem, bo w wielu miejscach, gdzie naprawdę można byłoby się wylegiwać, drewnianych barierek wciąż przybywa. Po co ma zbędny element systemu łazić po skałkach z aparatem i trzaskać zdjęciami Caryńskimi? Po co wygniata trawę, zamiast iść dalej? Na ławce niech sobie siedzi, zje kanapkę i w drogę!

Nie znam się na tym, ale mam wrażenie, że parę metrów kwadratowych trawy, które wygniatają turyści, to nie jest jakaś przyrodnicza hekatomba. Od lat przedziec wygniatali i jakoś jeszcze do cna nie wygniotali. Pod Tamią – gdzie przemysłnie zainstalowano taśmę, odgradzając szlak od całej reszty świata – skubał jagody i jakoś nie wyskubał. Na miłość boską, chodzi przecież o kontakt z naturą, nie tylko wzrokowy!

Turysta to zbędny element systemu, bez dwóch zdań. Jak tak dalej pójdzie, kiedyś pojawią się w tym parku śliski, albo może przezroczyste ekrany, które będą odgradzać człowieka od tego, czego chciałby dotknąć. Nie wiem tylko, czy po takim parku ktoś jeszcze będzie chciał chodzić, bo i po co?

Adrian Markowski

Wzrośnie atrakcyjność turystyczna regionu, bezrobotni znajdą pracę

Trwa budowa kolei gondolowej i wież widokowych

Polskie Koleje Linowe zaprezentowały nowe wizualizacje kolejki gondolowej oraz dwóch wież widokowych, które powstają w Solinie w sąsiedztwie zapory.

Podróż 8-osobowym wagonikiem kolei linowej rozpocznie się od stacji Plasza zlokalizowanej przy solińskim deptaku. Stąd turyści podziwiając monumentalną zapórę oraz Jezioro Solińskie wyruszą w podróż do stacji zlokalizowanej na górze Jawor.

Na trasie kolei znajdować się będzie pięć podpór o różnych wysokościach, dlatego pasażerowie wagonika będą mogli podziwiać spektakularne widoki z różnych poziomów. Najniższa podpora osiągnie wysokość 17 metrów, najwyższa zaś 75 metrów. Będzie to najwyższa podpora kolei linowej w Polsce.

Wieża widokowa i park tematyczny

Na półtorakilometrowej trasie kolei gondolowej PKL wagony pokonają odległość aż 682 metrów pomiędzy podporami nr 2 i 3, co również będzie rekordową odległością w kraju. Podróżujący wagonikiem kolei linowej Grupy PKL będą mogli dotrzeć na górę Jawor, na której wybudowana zostanie



Wizualizacja fragmentu przyszłej kolei gondolowej w Solinie. FOT. ARCHIWUM PKL/MATERIAŁY PRASOWE

wieża widokowa. To z niej turyści z wysokości 50 metrów zobaczą trasę, którą pokonali wagonikiem kolei linowej, zapórę oraz krajobraz wraz z Zalewem Solińskim. Tutaj także zlokalizowana będzie karczma wpisana w pejzaż otoczenia góry Jawor i wieży widokowej.

Dodatkową atrakcją nowego ośrodka

turystycznego Grupy PKL i PFR w Solinie będzie park tematyczny zlokalizowany na powierzchni 4,7 hektara na zboczu góry Jawor, w którym każdy będzie mógł aktywnie spędzić czas, a także poznać legendarną historię tego wyjątkowego regionu Polski, odkrywając Bieszczady na nowo.

Połączenie natury i techniki

- To historyczna chwila dla gminy Solina, Bieszczadów i całej polskiej turystyki. Budowana kolej widokowa PKL nad zaporą w Solinie to dla naszego regionu ogromna szansa na uatrakcyjnienie tego miejsca. Realizowana inwestycja daje nowe otwar-

cie, rozszerzając ofertę turystyczną i stwarzając nowe miejsca pracy dla mieszkańców - mówi Adam Piątkowski, wójt gminy Solina.

Jezioro Solińskie oraz zapora ze względu na swój charakter - połączenie natury z techniką - od lat przyciągają turystów z całej Polski. Polskie Koleje Linowe właśnie w tej wyjątkowej lokalizacji tworzą atrakcyjną ofertę spędzenia wolnego czasu łącząc relaks, bliskość z naturą i edukację.

Kolej w Solinie zostanie wyposażona w najnowsze technologie, które zapewnią najwyższy standard bezpieczeństwa, a systemy napędu awaryjnego oraz niewrażliwe elementy kolei zostaną zdublowane i umożliwią bezpieczne zdublowanie pojazdów do stacji.

Podczas montażu rozciągania liny kolei także będą wykorzystane nowoczesne technologie. Za pomocą specjalistycznego drona zostanie rozciągnięta pierwsza lina o średnicy 4 mm wykonana z kevlaru, a następnie rozmieszczone zostaną liny docelowe o długości 3080 metrów.

Koszt inwestycji ośrodka turystycznego w Solinie szacowany jest na 110 mln zł.

GB

Zapisz dziecko na półkolonię

Martwiccie się, drodzy czytelnicy, że kiedy pójdziecie do pracy, wasze dzieci zostaną same w domu i będą się nudzić albo patrzeć godzinami w ekran telefonu? Jest na to rada. Warto zapisać dziecko na półkolonię.

Trzeba się spieszyć, bo chętnych nie brakuje. Półkolonie dla dzieci w wieku od 6 do 12 lat organizuje na wakacjach Urząd Miasta w Ustrzykach Dolnych wraz z Ustrzyckim Domem Kultury, Ośrodkiem Sportu i Rekreacji, Bieszczadzkiem Centrum Turystyki i Promo-

cji oraz Powiatową i Miejską Biblioteką Publiczną. Wymienione instytucje opracowały atrakcyjny plan zajęć; jest pewne, że żadna dziewczynka czy chłopiec nie będą mieć nosów spuszczonej na kwintę. Gry i zabawy, zajęcia sportowo-rekreacyjne, plastyczne, a na dodatek wspólne posiłki - wszystko to powinno nakłonić rodziców do zapisania swoich pociech na zorganizowany letni wypoczynek.

Terminy turnusów: 12-16 lipca, 19-23 lipca, 2-6 sierpnia, 9-13 sierpnia. Zajęcia będą prowadzone od 7:30 do 15:30. Koszt

uczestnictwa w turnusie - 400 zł. Liczba miejsc jest ograniczona. Zapisy w UDK pod numerem telefonu: 13 461 13 22.

- Staramy się spełniać oczekiwania rodziców, którzy muszą pracować w czasie, gdy ich dzieci mają już wakacje - mówi burmistrz Bartosz Romowicz. - Półkolonia jest jedną z dobrych form organizacji czasu wolnego dla najmłodszych. Mogą poznać nowych kolegów i koleżanki, nauczyć się szeregu ciekawych rzeczy, a później mieć miłe wspomnienia.

MP, KP

Galeria Zmija
Andrzeja Borowskiego

Wojtkowa 26, 38-712 Wojtkowa
Tel. 517 918 177
Zapraszamy!

Informacja

GNP.6845.60.2021

Informuję, iż w oparciu o art. 35 ust. 1 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (jednolity tekst Dz. U. z 2020 roku poz. 1990) oraz w oparciu o § 4 ust. 3 i pkt. 3 uchwały nr XLVI/329/06 Rady Miejskiej w Ustrzykach Dolnych z dnia 30.08.2006 r. w sprawie zasad nabywania, zbywania i obciążania nieruchomości gruntowych oraz ich wydzierżawiania lub najmu na okres dłuższy niż trzy lata - w siedzibie Urzędu Miejskiego w Ustrzykach Dolnych przy ulicy Kopernika 1 na tablicy ogłoszeń i na stronie interneto-

wej www.ustrzyki-dolne.pl w zakładce BIP w dniach od 09 lipca 2021 r. do 02 sierpnia 2021 r. zostanie podany do publicznej wiadomości poprzez wywieszenie na tablicy ogłoszeń wykaz nieruchomości stanowiącej własność Gminy Ustrzyki Dolne:

- przeznaczonej do dzierżawy w formie bezprzetargowej zgodnie z obowiązującymi przepisami w tym zakresie tj.: działki oznaczonej numerem ewidencyjnym 75/3 o powierzchni 0,1892 ha, położonej w miejscowości Zawadka z przeznaczeniem na poprawienie warunków zagospodarowania nieruchomości sąsiedniej.

Z UP. BURMISTRZA
MICHAŁ WNUK
ZASTĘPCA BURMISTRZA

MAC
Disney
Cruella
9/10/11 LIPCA
GODZINA 17.00

FILMY W KINIE ORZEŁ

KUP BILET ONLINE NA: www.udk.systembiletowy.pl

16/17/18 LIPCA
GODZINA 19.00
W JAK MORDERSTWO

„Bandanki” tańczą ponad ćwierć wieku



Zespół „Bandanki”, czerwiec 2021 roku. FOT. ANDRZEJ GÓRSKI

Zespół Tańca Ludowego „Bandanki” wszedł w kolejny, 26. rok działalności. Przy tej okazji pod koniec czerwca przyjęto oficjalnie do zespołu młodszą grupę dzieci. Już rokują do brze na przyszłość.

Grupa odbywała pierwsze ćwiczenia wokalo-taneczne w Przedszkolu nr 1 jako zajęcia dodatkowe populodniowe. Od września najmłodszy rozpoczną przygodę z tańcem i śpiewem ludowym już jako członkowie „Bandanek”. Będą poszerzać swoje umiejętności pod kierunkiem Beaty Maciołek, instruktora tańca ludowego, i dra Tomasza Rożka - choreografa zespołu. Grupy taneczne działają od dawna przy Ognisku Pracy Pozaszkolnej Liceum Ogólnokształcącego w Ustrzykach Dolnych.

Nagrody za ciężką pracę

Spotkanie dziewcząt i chłopców z „Bandanek” było również podsumowaniem sezonu artystycznego. Nie był łatwy, ale udany. Zespół nagrodzono na Festiwalu „Muzyczny świat dla dzieci” Odessa 2021. Fe-

stiwiał z powodu pandemii odbywał się w formie online. Pierwsze miejsce w „Gminnym Konkursie Kołęd i pastorałek” (organizowanym przez UDK w Ustrzykach Dolnych) zajęła wokalistka Hanna Brukało. Jednym z największych osiągnięć jest występ „Bandanek” podczas Koncertu Noworocznego z Państwowym Ludowym Zespołem Pieśni i Tańca „Mazowsze” w 2016 roku. Warto również zaznaczyć udział instruktora „Bandanek” w międzynarodowym jury dwóch konkursów tanecznych: Międzynarodowego Festiwalu-Konkursu „Złota Gwiazda” Odessa - Ukraina 2020 oraz Międzynarodowego Festiwalu-Konkursu Nur-Sultan - Republika Kazachstanu 2021.

Zespół Tańca Ludowego „Bandanki” powstał w 1995 roku. Przez 26 lat w zespole tańczyło około dwustu osób. Niektórzy byli członkami poszli w kierunku tańca i choreografii, inni wokal klasyczny, niektórzy zaś tańczą w innych zespołach pieśni i tańca.

„Bandanki” stały się zespołem wielopokoleniowym, czego dowo-

dem są dzieci tancerzy z pierwszego składu. Obecnie grupa liczy 66 członków. Jest otwarta na nowych chętnych ze szkół podstawowych i średnich.

Wsparcie od samorządów i szkół

- Dziękuję wszystkim tancerzom i ich rodzicom, z którymi miałam i mam obecnie przyjemność współpracować - mówi Beata Maciołek. - Dziękuję dyrektorowi Liceum Ogólnokształcącego Arkadiuszowi Lupie, burmistrzowi Bartoszewi Romowiczowi i jego zastępcy Michałowi Wnukowi za wsparcie oraz dobre słowo skierowane do dzieci i młodzieży. Dziękuję staroście bieszczadzkiemu Markowi Andruchowi i jego zastępcy Arturowi Woźnemu, wszystkim byłym wódomarzom Ustrzyk Dolnych i powiatu bieszczadzkiego, a także dyrektorom Szkoły Podstawowej nr 1, dla których wszechstronny rozwój dzieci i młodzieży był zawsze stawiany jako priorytet w szeroko rozumianej edukacji.

MP

Sukces młodych aktorów

Uczniowie ze Szkoły Podstawowej w Wojtkowej zdobyli wyróżnienie podczas finału drugiej odsłony projektu TEATR W SIECI/NATENCZAS.

Młodych aktorów nagrodzono za „Superwariację na temat Juliana Tuwima”. Spektakl był zwieńczeniem warsztatów teatralnych, jakie z uczniami przeprowadzili aktorzy Teatru im Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie. Przez dwa dni na Dużej Scenie w krótkich formach scenicznych zaprezentowało się 137 uczniów z 23 podkarpackich szkół. Uczniowie ze Szkoły Podstawowej w Wojtkowej wystąpili w składzie: Brajan Toporowski - klasa VIII, Amelia Chmielowska - klasa VII, Julia Włodarczyk - klasa VII, Maciej Kruk - klasa VI, Maja Podolak - klasa V, Pola Roman - klasa III.

- Grupa pracowała pod fachowym okiem aktora Marka Kępińskiego, któremu składamy serdeczne podziękowania za wspólną aktorską przy-

godę i współpracę. Dziękujemy również panu Bartoszewi Romowiczowi, burmistrzowi Ustrzyk Dolnych, który umożliwił nam przejazd do Rzeszowa na próbę generalną i Wielki Finał - mówi Aneta Chmielowska, koordynatorka akcji z ramienia szkoły.

Popisy grup uczniowskich każdego dnia oceniało jury, w którego skład weszli przedstawiciele Teatru im. Wandy Siemaszkowej, Samorządu Województwa Podkarpackiego i Kuratorium Oświaty w Rzeszowie.

Organizacją drugiej odsłony projektu TEATR W SIECI/NATENCZAS była możliwa dzięki ogólnopolskiemu programowi „Przestrzenie Sztuki”, którego operatorem jest rzeszowski teatr. Program „Przestrzenie Sztuki” jest finansowany z funduszy Ministerstwa Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu, realizowany przez Instytut Muzyki i Tańca oraz Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszeńskiego.

GB



Nagrodzeni uczniowie ze szkoły w Wojtkowej. FOT. ARCHIWUM SPW WOJTKOWEJ

Z BLISKA I DALEKA

REMIGIUSZ OGONOWSKI



Klaun z cyrku pod dębami

Wiadomość o przybyciu do Ustrzyk Dolnych cyrku As z Warszawy była niezwykle elektryzująca. Z wyiekami na twarzy przekazywano ją sobie z ust do ust. Możliwość zobaczenia na własne oczy dzikich afrykańskich zwierząt rozpaliała wyobraźnię zwłaszcza dzieci. Wraz z braćmi Osika, chyba Zenkiem i Pawłem, pobiegłem do parku Pod Dębami, gdzie cyrk As rozlokowywał swój tabor. Poszukiwania lwa lub jakiegoś innego dzikiego zwierza zajęło nam sporo czasu, ale w końcu przez niewielką szparę w wozie cyrkowym dostrzegłem leżącego drapieżcę z wielką grzywą. Niestety dostrzegł nas również bieter cyrku As i z groźną miną, bardziej groźną od tej na obliczu lwa, nakazał nam opuścić teren. Dopiero po wytłumaczeniu, czym kierowaliśmy się odwiedzając cyrk przed otwarciem, uśmiechnął się i powiedział, abyśmy przyszli jutro przed pierwszym przedstawieniem.

Stawiliśmy się o wyznaczonej porze. Bieter poprosił nas, abyśmy uprzętneli teren wokół wielkiego namiotu ze śmieci, głównie papierków po cukierkach. W nagrodę obejrzelśmy przedstawienie za darmo. Nazajutrz moja mama przyniosła z zakładu pracy darmowe wejściówki i wraz z rodzeństwem obejrzałem po raz drugi popisy cyrkowców. W kolejnym dniu bilety do cyrku dostał również mój ojciec i zakomunikował z radością, że zabierze mnie z sobą. Opierałem się, bo nie chciałem iść do cyrku po raz trzeci, jednak w końcu uległem.

Mieliśmy miejscówki w łożu, czyli najbliższej sceny. Po każdym występie typu tresura lwów czy pokaz woltżerki przerwy wypełniał klaun, który udanie skupiał na sobie uwagę, zwłaszcza dzieci, tak aby nie nudziły się, gdy artyści cyrkowi przygotowywali arenę do kolejnego popisu. Klaun z kolorowym makijażem i barwnym strojem z dominującą czerwieńią świetnie bawił wymagającego młodego widza. Mi również przypadł do gustu jego występ, ale jak wspominałem to samo przedstawienie oglądałem po raz trzeci i ojciec, widząc moje znużenie, nakazał mi, abym na kilka minut opuścił namiot, zbytnio się nie oddalając.

Trudno mi dziś precyzyjnie podać dokładną datę występu cyrku As w Ustrzykach, ale mogło to być początkiem lat siedemdziesiątych. Pamiętam, że było już bardzo ciepło, a gdy wyszedłem na zewnątrz panował zmrok. Spacerując bez celu po terenie z oddali zauważyłem cyrkowego klauna, który ze spuszczoną głową siedział na wielkiej oponie wozu. Pobiegłem w jego stronę, aby mu podziękować za pełen żartu i zabawy występ, ale gdy zbliżyłem się na kilka metrów - niemal „skamieniałem”. Niedawny żartowniś, siedząc w kukki, zalewał się łzami. Jego twarz z rozmazanym makijażem wręcz mnie przeraziła. Zupełnie nie rozumiałem, jak można było pięć minut wcześniej śmiać się i robić fikołki, a zaraz po tym płakać. Klaun był w rozpacz, choć nie znałem przyczyny. Dopiero później dowiedziałem się, że ów artysta tuż przed swoim popisem otrzymał telegram z tragiczną wiadomością o kimś ze swych bliskich. Mógł zrezygnować z zabawiania widzów, ale wykazał się profesjonalizmem. Zasłużył na wielkie uznanie i do dzisiaj pozostał w moim sercu. Warto zatem pamiętać o myśli Marka Hłaski: „Niekiedy już tak jest w naszym życiu, że nie pozostaje nam nic innego jak uśmiech przez łzy”.

RADOŚĆ • ZABAWA • GÓRY • NATURA • ODPOCZYNEK

LIPIEC '21 WAKACJE

W USTRZYKACH DOLNYCH

04/07 • RYNEK • 15.00
Naukowa Niedziela / „Mylane zjawiska”
Piknik dla seniora • 16.30

05/07 • RYNEK • 19.00
KONCERT Gary Moore Tribute Band

06/07 • USTRZYCKI DOM KULTURY • 17.00
WERNISAŻ prac plastycznych Susanna Jara + recital
SPEKTAKL „Anna Wiktorja”

10/07 • BASENY ZEWNĘTRZNE OSIR • 10.00
Sobota z OSIR / zabawy sportowe dla dzieci i młodzieży
Dancing pod gwiazdami / DJ • RYNEK • 20.00

15/07 • RYNEK • 18.00
Piknik dla seniora [spotkanie z Marzonną Żurek - specjalistka ds. psychodiatetyki, dyplomowanym coachem zdrowia i żywienia, doradcą i edukatorem żywieniowym]

15/07 • RYNEK • 21.00
Plenerowe Kino Letnie

17/07 • RYNEK • 16.00
SPOTKANIE AUTORSKIE / Promocja książki
Krzysztofa Poterały „Świerczewski,
Śmieć i kult bożyszcza koturnizmu”
Dancing pod gwiazdami / DJ • RYNEK • 20.00

18/07 • PARK POD DĘBAMI • 15.00
Festyn rodzinny z Promykłem Nadziel

22/07 • RYNEK • 21.00
KONCERT „Muzyczny Sagan”

24/07 • RYNEK • 17.00
konkurs piosenek turystycznej
„Złota nutka Korony Ustrzyckich Gór”

25/07 • Cerkiew pw. Zaśnięcia NMP • 18.00
Śpiew pieśni religijnych / Spotkanie pieśni ekumenicznej
Dancing pod gwiazdami / DJ • RYNEK • 20.00

29/07 • RYNEK • 21.00
Plenerowe Kino Letnie

30/07 • RYNEK • 17.30
KONCERT „Ludowizna”

31/07 • RYNEK • 10.00
KIEMASZ TURYSTYCZNY
„Korona Ustrzyckich Gór - marka Bieszczadów, marka Podkarpacia”
Dancing pod gwiazdami / DJ • RYNEK • 20.00

Bieszczady. Czym są? Czym były? Czym będą?



Bieszczady – kraina wielu możliwości. FOT. KRZYSZTOF POTACZALA

OPINIE

MATEUSZ ZMYŚLONY

O Bieszczadach pisze strateg miast i regionów. Głos ten ma być zaproszeniem do szerokiej dyskusji na temat przyszłości regionu i jego marki.

Bieszczady w mojej głowie zawsze były mitem, legendą, jakąś niezwykłą historią, trochę z pogranicza jawy i snu. Czym są naprawdę?

Na pewno są zbiorowym polskim wyobrażeniem. Polskim Dzikim Zachodem, krainą odległą, dziką, peryferyjną, alternatywną, westeronową. Bieszczady to góry, połoniny, dolina Sanu. Miejsce ucieczki i buntu – z tych właśnie skojarzeń bierze się chyba powszechnie w Polsce kojarzone sformułowanie „a może by tak rzucić wszystko i wyjechać w Bieszczady?”.

Osobiście uważam Bieszczady za miejsce naprawdę niezwykle, fascynujące powyżej pewnej normy. Kocham góry, uważając Bieszczady za coś, czego nikt chyba do końca nie rozumie. By zastanawiać się nad ich przyszłością, należy najpierw zrozumieć ich teraźniejszość i przeszłość.

Koniec świata, początek przygody

To najbardziej „niegrzeczny” region w Polsce. To góry najdalszego pogranicza, terytorium wolności i niezależności. Bieszczady zamieszkują niespokojne duchy, artyści, samotnicy, eskapiści z cyfrowych metropolii. Bieszczadnik w głębi duszy jest tołhajem, górskim czarnym charakterem, twarzą. Bieszczady to teren alternatywny dla reszty rzeczywistości. To królestwo Matki Natury, w której człowiek jest tylko gościem. Bieszczady są romantyczne, zbuntowane, idealistyczne, ale są też narowiste, charakterne, potrafią oddać.

W Bieszczadach się nie patyczkuje. Polski Dzik Zachód jest na wschodzie, południowym wschodzie. To kraina drwali i węglarzy, przemytników i pograniczników, rozbójników, leśnych bandziorów i polujących na

nich wojaków. Bieszczady to ostoja wilków i niedźwiedzi, awanturników i niezależnych osobowości.

Bieszczady to koniec świata i początek przygody. Najdalszy rewir tej części Europy i najpiękniejsze miejsce pod słońcem. Góry dzikiej kultury są (powinny być?) ekologiczne, ekologicznie estetyczne, buntownicze. Bieszczadzkie są (w pewnym sensie) klimaty „Siekierzady” Stachury (oryginalnie w kotlinie kłodzkiej, ale to w Bieszczadach stoi w Cisnej knajpa, która kradnie tę spuściznę) i „Baza ludzi umarłych” (w sensie film wg książki Marka Hłaski, nagrywany też poza Bieszczadami). O Bieszczadach jest „Wataha”. Wydawało mi się nawet, że „Popiół i diament” to opowieść z Bieszczadów, choć tak naprawdę akcja tej historii toczy się w Górach Świętokrzyskich... Świadczyć to może o sile stereotypu, bieszczadzki magnetyzmie.

Bieszczady każdy widzi nieco inaczej, po swojemu, tutaj każdemu wydaje się coś innego, choć istnieją intrygujące mianowniki.

Planowo wyludnione pogranicze

Stereotypy zazwyczaj bazują na faktach. Spójrzmy zatem na Bieszczady z ich perspektywy. Odłudne, pograniczne... są takimi od bardzo niedawna. Tak naprawdę ich współczesna tożsamość zaczyna się w 1945 roku. Wojna i polityka zmieniły wszystko: wcześniej co prawda Bieszczady były tradycyjną granicą jako pasmo górskie, ale znajdowały się – z polskiego punktu widzenia – po prostu gdzieś pomiędzy Krakowem i Lwowem, najważniejszymi metropoliami (polskiej, ukraińskiej, austro-węgierskiej) Galicji. Po II wojnie światowej nagle stały się – sztucznie wprowadzoną – granicą polsko-ukraińską. Areną konfliktów na tle narodowościowym. Terenem ciężkich walk partyzanckich – na tyle trudnym, że ówczesne władze podjęły bezprecedensową decyzję o realizacji akcji „Wisła”. Sądzę, że właśnie ta czystka etniczna doprowadziła do powstania dzisiejszej anomalii – współczesnego stereotypu bieszczadzkiego.

Pograniczne w nowym, polsko-

To najbardziej „niegrzeczny” region w Polsce. Góry najdalszego pogranicza, terytorium wolności i niezależności. Mieszkają tu niespokojne duchy, artyści, samotnicy, eskapiści z cyfrowych metropolii.

–ukraińskim ujęciu 70 lat temu stały się faktycznie bezludne. Wysiedlono ponad 140 tysięcy ludzi – rdzenna ludność praktycznie starta została z powierzchni bieszczadzkiej i beskidzkiej ziemi. Łemkowie, Bojkowie, Dolinianie, Ukraińcy – zostali z premedytacją wywiezieni i rozproszeni po powojennych, polskich ziemiach odzyskanych. Większość z nich poddała się przymusowej asymilacji, niejako rozpuszczając się w zalewie polskiej większości. Gdzieś tam tożsamość zbiorowa przetrwała – jak np. w miarę zwartych łemkowskich społecznościach na Dolnym Śląsku.

A Bieszczady? Stały się planowo puste. Najpierw posłużyło to skutecznej pacyfikacji proukraińskich partyzantów. Następnie komunistyczne państwo polskie zaczęło te puste Bieszczady stopniowo zasiedlać, inwestując wiele energii w ich skomunikowanie z resztą kraju – tak powstały obie bieszczadzkie pętle, które pierwszy raz w historii tych gór umożliwiły tak łatwy transport drogowy, sięgający niedostępnych wcześniej zakątków.

Natura nie znosi próżni

Wyjątkowe, bo puste, góry stały się w ten sposób legendą. Bezludność Bieszczadów lat pięćdziesiątych jest mitem założycielskim ich współczesnej legendy i praprzyczyną powiedzenia „a może by tak rzucić

wszystko...”. Legendę tę oczywiście wzmacniały inne „bieszczadzkie” cechy – nie przypadkiem istniała tradycja tołhajów, górskich zbójców – region ten zawsze sprzyjał uciekinierom, renegeatom i wszelkim wykluczonym lub zbuntowanym.

Jak jednak wyglądały Bieszczady przed wojną? Otóż – zupełnie inaczej niż w dzisiejszym stereotypie. Były to góry stosunkowo gęsto zaludnione. Połoniny były intensywnie wykorzystywane do tak zwanego pasterstwa transhumancyjnego. Rdzenna ludność, wywodząca się w największym stopniu od kolonizujących od XIV wieku, bezludne wcześniej góry, Wołochów, specjalizowała się w sezonowym przędzaniu stad owiec i kóz – latem wypasano je na wysokości, by na zimę przemieszczać je w doliny. Taki tryb życia był zupełnie inny niż obowiązujący na zamieszkałych przez słowiańską (w dużym stopniu – polską) ludność zamieszkującą niziny i równiny. Ta trudniła się osiadłym rolnictwem. Potomkowie górali z dzisiejszej Rumunii – wspomnianych Wołochów – to była zupełnie inna nacja. Nomadyczna, o innym wyznaniu i obyczajach. I choć dziś w Bieszczadach ich nie ma, to jednak pozostały po nich ślady, a natura gór na swój sposób o nich pamięta.

W Tatrach i Beskidach przetrwały lokalne góralskie, post-wojskie społeczności i to one kształtują w największym stopniu lokalne tradycje i współczesne wizerunki miejsc. Inaczej jest na Dolnym Śląsku – gdzie Sudety i Karkonosze również zostały pozbawione swej przedwojennej, niemieckojęzycznej ludności. Stało się to inaczej niż w Bieszczadach – bo wysiedlenie Niemców było „sprawiedliwieścią dziejową”, a akcja „Wisła” – polską czystką etniczną wymierzoną w lokalną ludność z premedytacją, w celu spolszczenia tych gór i pozbycia się kłopotów, wynikających z inności, odrębności miejscowych.

W oczekiwaniu na odpowiedź

Dziś, po siedemdziesięciu latach od tych wydarzeń, możemy moim zdaniem rozpocząć otwartą dyskusję nad tą przeszłością. Wiedza o przeszłości pomaga w poprawnym zroz-

mieniu miejsca, mądrym określeniu jego aktualnej tożsamości – a to prowadzi do przyszłości. Tę z kolei można – być może mądrze – zaplanować.

Jeśli tego nie zrobimy, jakaś przyszłość, oczywiście w Bieszczadach, się wydarzy. Będzie jednak bardziej spontaniczna, chaotyczna, być może gorsza dla całego regionu. Jeśli pokusimy się o jej – przyszłości – zaprojektowanie, możemy przyczynić się do lepszego rozwoju (czy też może – zachowania) tych gór. Zresztą – czym są tak naprawdę te przyszłe „Bieszczady”? Górami w sensie geologicznym? Parkiem narodowym? Ekosystemem przyrodniczym? Atrakcją turystyczną? Miejscem zamieszkania ludzi z powiatów bieszczadzkiego, leskiego, sanockiego, być może też przemyskiego? Wciąż najrzadziej zaludnionym regionem w Polsce? A może geograficznie wspólną, polsko-ukraińsko-słowacką dziś przestrzenią? Wielkim lasem do wyrębów? Jednym z najładniejszych w tej części Europy szlaków turystycznych? Najpiękniejszą polską drogą? Europejskim pograniczem?

Bieszczady są dziś oczywiście tym wszystkim jednocześnie.

Zaproszenie do dyskusji

A o tym, czym stać się mogą w przyszłości, naprawdę możemy zdecydować – my, ludzie, dla których te Bieszczady są ważne. I ci, którzy dziś je zamieszkują, i ci, którzy lubią je odwiedzać. Nasze Bieszczady mogą być przecież ładniejsze architektonicznie, mogą być bardziej spójne, estetyczne. Możemy zadbać o to, by były regionem lepszym ekologicznie, mniej zaopartywanym w szczyty sezonu, lepiej zagospodarowanym – najlepiej moim zdaniem – w duchu Symbiocenu, epoki świadomej symbiozy Człowieka z Przyrodą. Możemy opisać sobie, jakich Bieszczadów w przyszłości nie chcielibyśmy zobaczyć – a projektując taką – samoświadomą – współczesną markę „Bieszczady” – możemy ją powołać do życia, stworzyć, ulepić, ukształtować, dookreślić – taką, jaką sobie wymarzymy.

Zapraszamy do dyskusji na temat przyszłości tych gór i stworzenia marki „Bieszczady”.

REPORTAŻ

KRZYSZTOF POTACZAŁA

Trzydzieści lat temu międzynarodowe stowarzyszenie ekologiczne chciało kupić jedną z najpiękniejszych dolin w Bieszczadach. W ciągu kilku miesięcy zebrano osiemdziesiąt tysięcy dolarów.

Kim byli ludzie, którzy w lipcu 1991 roku, niesieni politycznymi zmianami w Europie Wschodniej, zjechali tłumnie do Tworylnego? Ci obcy odziani w kolorowe szaty, taszczyący bębny, totemy, garnki?

Rok wcześniej spotkali się w Austrii. Zgodnie z tradycją musieli ustalić miejsce kolejnego zlotu i zacząć przygotowania. Padło na Polskę. – Po raz pierwszy mieliśmy przybyć do kraju postkomunistycznego, więc wszystkim bardzo się to spodobało – wspomina Henri Schumacher, Niemiec, który odegrał kluczową rolę w organizacji bieszczadzkiej imprezy.

Rozpoznawalni w świecie

W 1989 roku Polska wyłoniła się zza żelaznej kurtyny. To dlatego zaraz potem zlaknieni kontaktem z wolnościowymi ruchami na Zachodzie młodzi Polacy tłumnie pociągnęli pod Wiedeń. Rainbow Family była otwarta na nowych zwolenników, zwłaszcza z upadających jeden po drugim demoludów. W Rodzinie Tęczy wszyscy mieli równy głos, każdy mógł mówić co chciał, i wyznawać dowolną religię. Ale najbardziej ludzi z tego kręgu łączyło odniesienie do szeroko rozumianej natury.

– Chcieliśmy pokojowo, choć mocno i wyraźnie, zwracać uwagę opinii publicznej na zagrożenie związane z niszczeniem planety – tłumaczy Schumacher. – Nasi ludzie w Europie i za oceanem angażowali się w protesty przeciwko budowie elektrowni atomowych, nadmiernemu wycinaniu lasów, zatrucaniu ziemi i rzek megatonami chemikaliów. Staliśmy się rozpoznawalni w świecie.

W krajach satelickich Związku Radzieckiego i w samym ZSRR ruch Rainbow nie był dobrze znany, jednak wraz z transformacją ustrojową otworzyły się kanały komunikacji. Sprawnie działająca poczta pantoflowa sprawiła, że na dziesiątych w historii zjazd wybierały się do Polski tysiące. Jeszcze wiosną 1991 roku w Krakowie powołano nieformalną grupę mającą przygotować zlot. – W kilkanaście osób wyruszyliśmy w Bieszczady – pamięta Schumacher. – Nikt z nas wcześniej tutaj nie był; nie wiedzieliśmy, jak zostaniemy przyjęci.

Andrzej Borowski, znany też jako Żmiju, mieszkał wówczas w Wołoszynie. Interesował się przyrodą, współpracował z Bieszczadzkim Parkiem Narodowym. To on namalował logo parku z głową rysia. Blisko mu było do hipisów, do artystycznej bohemy. Wyślanicy Rodziny Tęczy trafili właśnie do niego. – Zapytali, czy pomógłbym im znaleźć miejsce na wielką imprezę. Jeszcze tego samego dnia wyruszyliśmy w teren, objeżdżając najbardziej malownicze rejon. Wszędzie im się



Ćwiczenia gimnastyczno-relaksujące w kręgu FOT. ANDRZEJ GÓRSKI

podobało, ale kiedy dotarliśmy do Tworylnego, stanęli jak wryci.

– Zakochałem się w tej dolinie od pierwszego wejrzenia, niczym w dziewczynie – uśmiecha się Henri. – Nie chcę pozować na maga, ale emanowała niezwykłą mocą, miała wręcz magnetyczne przyciąganie.

Dialog na granicy i w urzędzie

Oprócz rozległej doliny, mogącej pomieścić parę tysięcy ludzi, potrzebna była także zgoda lokalnych władz. A te, kiedy dowiedziały się, że przybyście upatryli sobie Tworylne, powiedziały: nie. Wójt gminy Czarna Władysław Podraza przeląkł się, że na podległym mu administracyjnie terenie obcy zostawią pobojuwisko. Niechętna była również dyrekcja Bieszczadzkiego Parku Narodowego. Ówczesny szef BdPN Wojomir Wojciechowski dał organizatorom zlotu do zrozumienia, że powinni poszukać innego miejsca. Bo chociaż Tworylne nie leżało w granicach parku, to stanowiło jego naturalną otulinę.

Schumacher: – Pojechaliśmy nad górny San, piechotą dotarliśmy aż do

- Niezwykle było też to, że nikt nie wstydził się nagości. Kto chciał, chodził sobie, jak go pan Bóg stworzył, od dzieci po dorosłych. No ale jak się na wsiach ludzie dowiedzieli, że w Tworylnem siedzą nagusy, zaraz pobiegli tam z lornetkami.

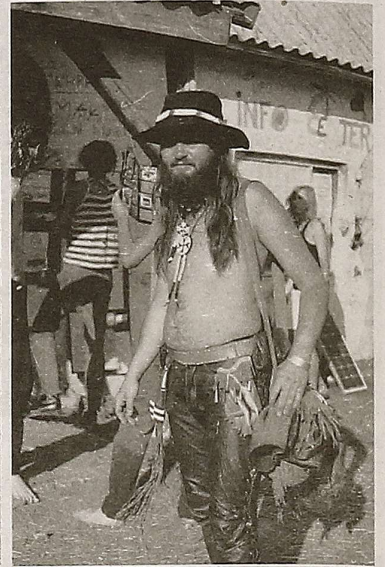


Biały domek w Tworylnem zamieniony na centrum informacyjne FOT. ANDRZEJ BOROWSKI

Sianek. Też było ładnie, ale pod radziecką granicą, co wykluczało organizację zjazdu. Chcąc odpocząć, rozłożyliśmy się na brzegu rzeki i w tej samej chwili z drugiej strony jak spod ziemi wyrosli radzieccy żołnierze. Pomachał im, a oni nam odpowiedzieli. Coś do nas pokrzykiwali, ale nie rozumieliśmy, bo wiatr zagłuszał głosy. Wtedy Andrzej Borowski wdrapał się na nadbrzeżne drzewo, żeby stamtąd kontynuować rozmowę. Może nawet by mu się udało, ale gałąź, której się uцепił trzasnęła i znalazł się w wodzie. Przeszedł kilka kroków, a wtedy jeden z pograniczników zdjął buty i zrobił to samo. Spotkali się pośrodku wąskiego w tym rejonie Sanu. Andrzej wyciągnął zza pachy francuskie papierosy. Zapalili, a potem zaczęli się ściszczać. Pewnie parę lat wcześniej taka sytuacja byłaby niemożliwa, ale wiosną 1991 roku Związek Radziecki już się chwił, a w grudniu upadł.

Rainbow Family nie odpuściła Tworylnego. Po kolejnych, tym razem pomyślnych, rozmowach z Wojomi-

Tęczowi ludzie



Ten człowiek przyjechał na zlot Rainbow Family aż ze Stanów Zjednoczonych FOT. ANDRZEJ GÓRSKI

kami, a niekiedy narzeczami. Język angielski służył do komunikacji pisemnej na rozwieszanych ogłoszeniach, niekoniecznie zaś do bezpośredniej – tu nierzadko porozumiewano się gestami. Nierzadko przy tym samym ognisku siedziało kilkadziesiąt osób i nie potrzebowały słów, żeby się zrozumieć. Chodziło raczej o pewien rodzaj wspólnoty duchowej, połączenia poprzez wyznawanie tych samych wartości.

– Przede wszystkim o uczenie się życia w symbiozie z przyrodą – tłumaczy Henri – a także o zasady wzajemnej pomocy, wspólnej sakwy, pracy dla dobra ogółu.

Izabela Cicha przez kilka dni koczowała w Tworylnem z kilkutygodniowym synkiem: – Nikt nikomu niczego nie żałował, wszyscy dzieliли się jedzeniem, byli dla siebie uprzejmi i mieli równe prawo głosu w każdej omawianej sprawie. Do Tworylnego nie jechano po to, żeby coś ugrać, załatwić lub zarobić. Taki styl życia i zachowania musiał wielu fascynować.

Robert Turski, mąż Izabeli: – Niezwykle było też to, że nikt nie wstydził się nagości. Kto chciał, chodził sobie, jak go pan Bóg stworzył, od dzieci po dorosłych. No ale jak się na wsiach ludzie dowiedzieli, że w Tworylnem siedzą nagusy, zaraz pobiegli tam z lornetkami. Godzinami siedzieli w krzakach i podglądali kobiety.

– To jeszcze nic – śmieje się Andrzej Borowski. – Początkiem lipca, kiedy tłum dopiero zmierzał w kierunku Tworylnego, miejscowi mieli największe kłopoty. Wtedy żar lał się z nieba, więc kto żył chciał się ochłodzić w Sanie. I akurat w Sękowcu do rzeki wlało jednocześnie ze sto osób. Bez majtek, bez biustonoszy. Ktoś ze wsi wezwał nawet policję, ale ta nie interweniowała.

– Nie każdy, kto przyjechał do Tworylnego, zaraz zrzucił ubranie – mówi Schumacher. – Niektóre kobiety odsłaniały tylko piersi, inne całość. Bardziej wyluzowani mężczyźni chodzili

w zielonej dolinie

zupełnie goli, ci mniej – z jakąś przepaską. Ale w każdym przypadku była to potrzeba naturalna, na zasadzie związku z dziką przyrodą.

– Przez niemal miesiąc pobytu w Tworylnem nie przespałem się z żadną dziewczyną, mimo że kwatrowałem w namiocie z czterema pięknosciami – kiwa głową Borowski, nie mogąc pojąć, jak to było możliwe.

Szybka nauka języka obcego

Ale tutaj wszystko było możliwe. Na przykład to, w jaki sposób Andrzej Żmiju Borowski nauczył się angielskiego. – Pewnego wieczoru parę osób zapytało mnie, co bym chciał w zamian za pomoc w organizacji zlotu. Odpowiedziałem, że pragnąłbym wreszcie mówić w miarę płynnie po angielsku. Bo do tej pory najczęściej używałem tylko dwóch zwrotów: *okey* oraz *no problem*. Widocznie tak często, że nadano mi ksywę *mister no problem*. Kilka dni później pewien Amerykanin poczęstował mnie dragami. Siedzimy, rozmawiamy i on nagle: – Andrzej, ty mówisz do mnie po angielsku! A ja do niego: – Mike, ty mówisz po polsku! Od tej pory nie mam problemów z porozumiewaniem się w *English language*. Może to zasługa czarodziejkiej mocy Rainbow, a może tego, że swego czasu przebywałem wśród hipisów z Zachodu i osłuchałem się ich języka. Tkwił gdzieś w podświadomości, a potem nagle się uwolnił.

Czy narkotyki były nieodłącznym elementem zlotu Rodziny Tęczy, jak podejrzewali przeciwnicy imprezy? Henri Schumacher: – Oficjalnie wszelkie używki były zakazane, ale nie dam głowy, czy nikt nie brał. Zapewne tacy się znaleźli, jednak zdecydowana większość nie zapaliła nawet trawki. Dbaliśmy o to, by nasz mityng nie przerodził się w bezsensowny spęd. I to się nam udało.

– Rainbow w Bieszczadach był wydarzeniem wyjątkowym także dlatego, że zaproszono do świętowania lokalnych włodarzy – dodaje Borowski. – Siedzieliśmy w wielkim kręgu wokół równie wielkiego ogniska i czuliśmy się wspólnotą. Nie istniała bariera pochodzenia, zajmowanego stanowiska, języka, koloru skóry. Dystansujący się wcześniej od nas urzędnicy zrozumieli, że uprzedzenia wynikają ze stereotypów i niewiedzy.

Do Tworylnego ściągali nie tylko ludzie, którzy prowadzili luźny tryb życia, ale też lekarze, pisarze, nauczyciele. – Niektórzy przybyli całymi rodzinami; był to dla nich rodzaj wakacyjnego wypoczynku powiązanego ściśle z naturą – przypominają uczestnicy zlotu. – Niesamowite były spotkania z dziką zwierzyną. Wielu z nas po raz pierwszy widziało jelenie w naturalnym środowisku i to musiało wywrzeć niezatarte wrażenie.

Kuchnia, piekarnia i wspólna kiesa

Trzy tysiące ludzi w jednej nadszańskej dolinie. Więcej, niż mieszkało na co dzień w gminie Lutowska. Musieli się myć, jeść, wydalac. A wszystko robić tak, by nie zostawić po sobie śladu zniszczenia. Henri Schumacher: –



Dzieci przed indiańskim tipi FOT. ANDRZEJ GÓRSKI



Kuchnia polowa w Tworylnem FOT. ANDRZEJ GÓRSKI

Zasady były jasne: nie stosujemy żadnych detergentów i korzystamy wyłącznie z wody w strumieniu. Segregujemy śmieci: osobno plastik, szkło, papier. Potrzeby fizjologiczne załatwiamy w oddalonych od namiotów wykopanych dołach, a fekalia zasypujemy popiołem z ogniska.

Andrzej Borowski: – W domku myśliwskim, jedynej powojennej budowli w Tworylnem, urządziliśmy biuro informacyjne. Oprócz tego w kilku miejscach rozwiesiliśmy plakaty z dwujęzycznymi (po polsku i angielsku) komunikatami o nakazach i zakazach. Nikt nie mógł powiedzieć, że czegoś nie wie lub nie rozumie.

Pośrodku łąki wytyczono obłożone kamieniami palenisko. To nad nim w wielkim, czarnym od spalenizny, kotle gotowano zupę warzywną, ziemniaki, kaszę. I ani kawałka mięsa. Rodzina Tęczy to wegetarianie i weganie. – Każdy coś ze sobą przywiózł, ale też kupowaliśmy produkty w sklepach i czasami u pobliskich gospodarzy – pamięta Schumacher. – Mieliśmy również plenerową piekarnię. Bawarczyk Herman zbudował z kamieni i gliny

piec; wypiekał w nim chleb z ziarnami zbóż. Zapach tego chleba był tak intensywny, że nikt nie potrafił mu się oprzeć.

– Posiłki stanowiły ważny element zlotu – opowiada Katarzyna z Krakowa. – Jedzono razem w kręgu. Nierzadko w tym samym czasie młode matki karmiły niemowlęta piersią. Konsumpcji towarzyszyła rozmowa; rozstrzygano najważniejsze bieżące sprawy, ewentualne spory, podejmowano decyzje dotyczące przeznaczenia konkretnej sumy pieniędzy na dany cel.

Pieniądzy na zlotach Rainbow należały do wszystkich. Już na początku każdego mityngu obdarzony zaufaniem ogół „kasjer” zbierał datki do kapelusza. Potem miał przypilnować, żeby ani jeden dolar, marka czy złotówka nie wyparowały z namiotowego sefu.

– Za sejf posłużyła parcziana torba – mówi Andrzej Borowski, który w Tworylnem dochrapał się funkcji strażnika. – Czegóż w niej nie było: dolary, franki, funty, fenigi, leje, korony, ruble. Jeden Indianin wrzucił aż dwa tysiące dolarów, tylko że jak wy-



Kobieta zażywająca słońca w otoczeniu liści topianu FOT. ANDRZEJ BOROWSKI

jeżdżał, to już nie miał nic na podróż. Zdecydowano przekazać mu pewną kwotę na bilety i jedzenie.

– Jeszcze poważniejsza była sprawa Lukasa z Czech. Przyjechał w Bieszczady z plecakiem ze stelazem. W aluminiowych rurkach schował pięć tysięcy marek. Podobno przemycił je z Niemiec jeszcze przed upadkiem muru berlińskiego. I akurat w Tworylnem, gdzie kradzież była plecak zwinął. Nikt z Rodziny Tęczy, tego jestem pewien, ale do wioski w czasie zjazdu przychodzili rozmawiać ludzie, więc komuś ten bagaż mógł się spodobać. Lukasz przyszedł do mnie roztrzęsiony i zwierzył się, że w stelazie miał majątek. Trzeba było mu odliczyć konkretną sumę na powrót do domu.

Skinheadzi bawią dzieci i sprzątają

Bębny nie cichły. Przez miesiąc grano na nich prawie nieustannie, zmieniały się tylko osoby. Nie każdy miał w sobie to coś, żeby wczuć się w rytm, dać mu się ponieść i zapomnieć o bożym świecie, ale nie brakowało samorodków, którzy wlot chwytały, na czym polegała ta muzyka. A może medytacja. Niekiedy jednocześnie na kilkunastu tam-tamacach wygrywano rytmy rodem z odległych krain, które w jakiś przedziwny sposób przetrwały w pamięci kolejnych pokoleń ludów plemiennych Afryki, Azji i obu Ameryk. Innym razem bębny grały pojedynczo – w zaciszu tipi, na śródleśnej polanie, przy tłym się ledwie ognisku. Niezmienne jednak wzbudzały zaciekawienie – także tubylców.

Gdzieś w połowie mityngu do Tworylnego przyjechała grupa skinheadów. – Dowiedzieli się, że w Bieszczadach przebywają długowłosi, więc uznali, że nadarza się okazja do zadymy – wspominają uczestnicy przystanku Rainbow. – Eysi, w buciach do lydek, z groźnymi minami, gotowi byli napięprzać każdego, kto nawinie im się pod rękę. Ale stała się rzecz przedziwna. Akurat trwały warsztaty bębnowe, zastuchali się i przeszła im ochota do bijatyki. Nie dość, że zapisały się na te warsztaty, to jeszcze potem pomagali nam w prowadzeniu plenerowego przedszkola i sprzątanu okolicy.

Wbrew obawom władz, zostawiono w Tworylnem idealny porządek. Śmieci posegregowano i wywieziono. Henri Schumacher: – Przed odjazdem kupiliśmy nawet trochę roślin, porostów i mchów, żeby posłużyły do odnowień przyrody. A w miejscu palenia ognisk ułożyliśmy świeżą darni, podobnie jak na wydeptanych ścieżkach do lasu.

Robert Turski: – Bałagan zrobił się dopiero po wyjeździe większości ludzi. Zostało w Tworylnem kilkudziesięciu zagubionych, niezwiązanych ideowo z ruchem Rainbow, którzy nie mieli co z sobą zrobić. Koczowali tu, snuli się po okolicy, narobili trochę głupot. I tę sytuację wykorzystali później przeciwnicy zlotu Rodziny Tęczy. W prasie opublikowali artykuły, w których oszkalowali ten pokojowy ruch, ukazując w krzywym zwierciadle jego ekologiczne przesłanie i tolerancję dla inności.

Kto wykupi zieloną enklawę

Jeszcze przed zakończeniem polskiego zlotu Rainbow postanowiono, że warto wykupić dolinę Tworylnego, a następnie zapewnić jej ścisłą ochronę. W tamtym czasie obszar ten był również w orbicie zainteresowania Lasów Państwowych – rzadko gdzie znajdowały się tak dogodne tereny łowieckie, obfitujące w zwierzynę płową i drapieżniki. Zderzyły się więc dwie zupełnie odmienne koncepcje. – Były nie do pogodzenia, ale mieliśmy nadzieję, że to my wyjdziemy z tej batalii zwycięsko – opowiada Andrzej Borowski. – Założyliśmy fundację *Workshop for the Rainbow Culture* (Pracownia Kultury Tęczy), która miała się zająć zbieraniem pieniędzy potrzebnych na przejęcie Tworylnego. Wieści o naszych planach rychło rozniósły się po świecie; w ciągu kilku miesięcy zebraliśmy osiemdziesiąt tysięcy dolarów!

Trwały negocjacje – z władzami gminy Czarna, Nadleśnictwem Lutowska, Bieszczadzkiem Parkiem Narodowym. – Przekonywaliśmy, że Tworylne powinno pozostać wolne od gospodarki łowieckiej – mówi Henri Schumacher – a wykorzystane do obserwacji przyrody i badań naukowych. Niby słuchano naszych argumentów, jednak chwilami odnosiłem wrażenie, że nie do końca poważnie.

W sprawę zaangażował się nawet ówczesny wicewojewoda krośnieński Adam Pęziół. Próbował namówić do przejęcia Tworylnego Bieszczadzki Park Narodowy, ale ostatecznie to leśnicy postawili na swoim. – Dolina Tworylnego znalazła się pod administracją Nadleśnictwa Lutowska z tej racji, że w tamtym czasie nie byliśmy zainteresowani poszerzeniem granic parku – nie ukrywa Wojomir Wojciechowski. – Lasy nie musiały wyklądać pieniędzy, dostały grunty za darmo od Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa.

Borowski: – To nas podłamało, na dodatek z konta zlokalizowanej w Rzeszowie pracowni zaczęły zniknąć pieniądze. Pełnitem w niej funkcję wiceprezesa, lecz na co dzień mieszkałem w Bieszczadach i nie o wszystkim wiedziałem. Mimo to udało mi się rozwiązać fundację i odzyskać większość pieniędzy. Trafiły na konto Rainbow Family.

HISTORIA

ŁUKASZ BAJDA

Wysięki ropy naftowej, także w Karpatach, obserwowano od niepamiętnych czasów. Na długo przed rewolucją przemysłową używano surową ropę jako smar do wozów, a także stosowano ją do celów leczniczych. Masowe wydobycie tego bogactwa naturalnego zaczęło się w 1854 roku.

Wtedy to lwowski aptekarz Ignacy Łukasiewicz razem ze współpracownikami Tytusem Trzecieckim i Karolem Klobasą założył kopalnię ropy naftowej w Bóbrce koło Krosna. Niedługo później rozpoczęto poszukiwania czarnego złota w Bieszczadach.

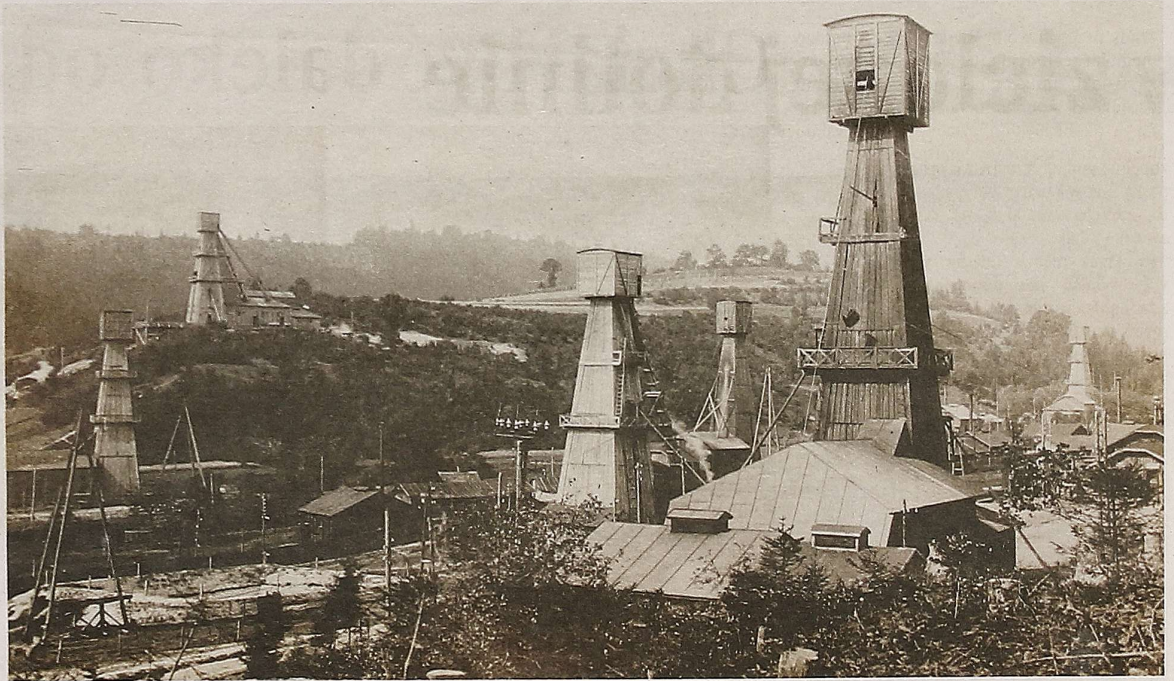
Pierwsze kopalnie ropy naftowej powstały w Łodynie (1860), Ropience (1863), Stuposianach (1863) i Bandrowie (1865). Ropę, nazywaną w przeszłości olejem skalnym, pozyskiwano początkowo w studniach nazywanych kopankami. Z czasem zaczęły rozwijać się technologie wiertnicze. Do 1884 roku szyby wiercono ręcznie. Przełom w kopalnictwie naftowym przyniosło pojawienie się w Galicji Williama McGarveya, kanadyjskiego przedsiębiorcy, który wprowadził maszynowy system wiercenia szybów. W latach 80. XIX wieku nastąpił skok w rozwoju kopalnictwa naftowego na terenie dzisiejszego Podkarpacia, a następnie także w rejonie słynnego Borysławia.

O ile jeszcze w 1885 roku produkcja ropy naftowej w zaborze austriackim przynosiła 800 wagonów po 10 ton ropy, to już w roku następnym wzrosła do 4310 wagonów, by u schyłku XIX wieku osiągnąć poziom 32630 wagonów. Z biegiem lat ta gałąź przemysłu galicyjskiego opanowana została przez obcy kapitał. Duże było w tym zaangażowanie spółek niemieckich i angielskich. Produkcja ropy na ziemiach polskich wchodzących w skład Austro-Węgier rosła aż do 1909 roku i wówczas Galicja zajmowała trzecie miejsce w wydobyciu tego surowca na świecie (po Ameryce i Kaukazie).

Nasza mała Kalifornia

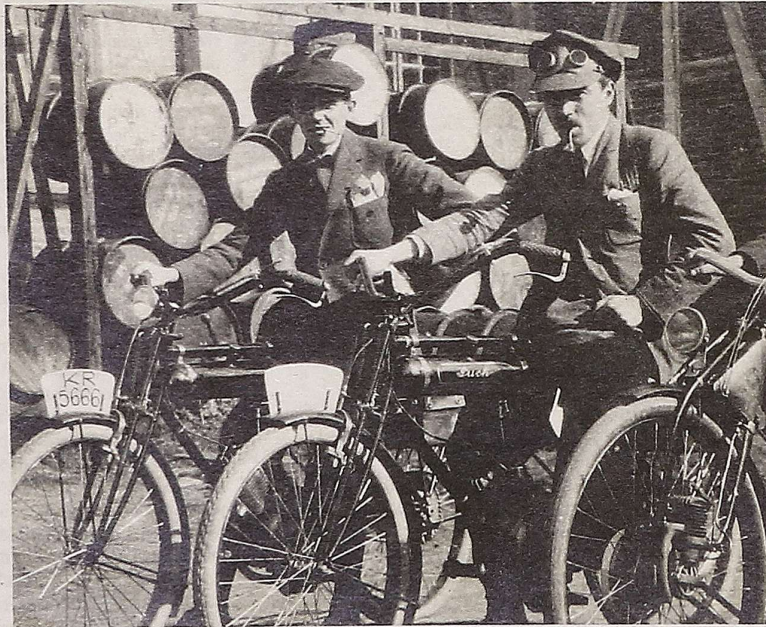
W przeszłości nasz region określano mianem „Sanockiego”, względnie ziemi sanockiej. Stąd też we wszelkich relacjach z epoki, dotyczących rozwoju przemysłu naftowego nie wspomina się o ropie w Bieszczadach, tylko używane jest tradycyjne nazewnictwo regionu. Gdy w 1884 roku dowiercono się do obfitych złóż ropy w Uhercach, w jednej z lwowskich gazet można było przeczytać: „W Ziemi Sanockiej, znanej dotychczas tylko z biedy, coraz to więcej wydobywają skarbów z głębi ziemi. Niedawno donosiły pisma o Polanie pod Ustrzykami, gdzie jak wiadomo, bardzo obficie wydobywa się nafta z ziemi. Od trzech tygodni pokazała się nafta w Uhercach pod Liskiem, we własności p. St. Świątkowskiego w tak znacznej ilości, iż formalnie zalewa Uherce, nie można było nastarczyć naczyń do wyłapania ropy. Co najciekawsze, nafta wytryska w Uhercach grubym promieniem, jakby studnia artezyjska i to w nadzwyczaj regularnych odstępach czasu. Co 15 minut wytryska przez niejaki czas słup ropy, dostateczny do napełnienia pięciu beczek – następnie ustaje, aby po kwadransie znowu rozpocząć tę samą czynność. Dziurę 150 metrów głęboką wyświdrowali tutaj amerykańscy robotnicy, sprowadzeni z Kanady, w sześciu dniach!”

Kilkanaście lat wcześniej taką naftową sensacją były podsanockie Płowce. Miejscowość tę nazywano wręcz sanocką Kalifornią. W relacji prasowej z 1870 roku czytamy: „Na przestrzeni mniej więcej 3 morgów wznosi się tutaj paręset rusztowań czyli tak zwanych wież, wyglądających jak las masztów okrętowych w morskiej



Krajobraz kopalniany z Borysławia, lata trzydzieste XX wieku. FOT. ARCHIWUM GAZETY BIESZCZADZKIEJ

Tryskające czarne złoto



Andrzej Mikucki i Tomasz Lępkowski przed magazynem kopalni Wańkowa, lata dwudzieste XX wieku. FOT. ZBIÓR ANDRZEJA MIKUCKIEGO

przystani. Gdziekolwiek wśród tego widać zabudowania, mieszczące pomieszkania dozorców i kuźnie przedsiębiorców. Kłęby dymu buchają z kominów, a w powietrzu rozlega się łoskot będącej w ruchu maszyny parowej, szmer pomp, głucho uderzenia świrdów i głosy kilkuset robotników pracujących na ziemi i pod ziemią.”

Rozwój kopalnictwa naftowego przyczynił się do ożywienia gospodarczego regionu. W Sanoku i w pobliskich miejscowościach powstało kilka rafinerii ropy naftowej. Podobny zakład funkcjonował w Lesku, a największą rafinerię w regionie wybudowano w Ustrzykach Dolnych.

Dziesiątki szybów i wież wiertniczych

Dawny galicyjski przemysł naftowy po I wojnie światowej znajdował się w ruinie. W pierwszych latach po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej rozbudowano rafinerię

w Ustrzykach Dolnych. Stopniowo też starano się zwiększać wydobycie w istniejących przedsiębiorstwach. Spośród 29 kopalni ropy naftowej podlegających w 1924 roku pod Urząd Górniczy w Drohobyczu, na terenie szeroko pojętych Bieszczadów znajdowały się kopalnie w Bandrowie, Hoszowie, Łodynie, Paszowej, Polanie, Rajskiem, Ropience i Wańkowej. Większość z nich nie prowadziła jednak eksploatacji na dużą skalę. Największą kopalnią złokalizowana była w okolicach Ropienki i Wańkowej; zajmowała piąte miejsce w skali całego drohobyckiego okręgu. Mimo stosunkowo dużego wydobycia, pozyskana tutaj ropa stanowiła niewielki odsetek tego, co wydobywano w Borysławiu i Tustanowicach. Nie zmienia to jednak faktu, że krajobraz Brelikowa, Ropienki, Wańkowej czy Rajskiego wypełniały dziesiątki szybów i wież wiertniczych. Zachodnia część regionu pod-

W Łodynie i Ropience jeszcze dziś zobaczyć można pracujące kiny oraz budynki stanowiące zaplecze wciąż funkcjonujących kopalni. Natomiast w Brzegach Dolnych urządzono Minimuzeum Kopalnictwa Naftowego.

legała pod Okręg Górniczy w Jaśle. W latach 20. XX w. funkcjonowały m.in. kopalnie w Płowcach koło Sanoka, Tyrawie Solnej, Mokrem, Wielopolu i Zagórzcu.

Chociaż pierwsze poszukiwania ropy naftowej w okolicach Ropienki prowadzono już w latach 60. XIX wieku, to poważniejsze działania na tym polu zaczęto pod koniec dziewiętnastego stulecia. Kopalnie położone na gruntach Ropienki, Wańkowej, Brelikowa i Leszczowatego należały w okresie międzywojennym do grupy francuskich towarzystw naftowych skupionych pod nazwą „Małopolska”. W początku lat 20. XX wieku przeprowadzona została elektryfikacja kopalni, a dotychczasowe maszyny parowe opalane ropą zostały zdemontowane. Pod kierunkiem inż. Andrzeja Mikuckiego uruchomione zostały cztery niewielkie elektrownie napędzane silnikami gazowymi.

Większość załóg kopalni rekrutowała się spośród mieszkańców regionu. Otrzymać dobrą posadę w kopalni ropy naftowej nie było łatwo. Elitę wśród robotników kopalnianych stanowili pracownicy odpowiedzialni za wiercenia. Najbardziej doświadczeni i sprawni wiertacze mogli później liczyć na intratne kontrakty zagraniczne. Niektórzy z nich wyjeżdżali nawet na Sumatrę czy Borneo, a wielu pozostawało później za granicą. Biesz-

czady przed II wojną światową były bardzo biednym regionem, ale Wańkowa i Ropienka dzięki funkcjonującemu tutaj dużemu ośrodkowi kopalnianemu wyróżniały się na tle okolicznych miejscowości. We wsi do dziś wydobywa się ropę naftową. Przetwarzało również kilka murowanych obiektów pamiętających okres międzywojenny, gdy kopalnia przeżywała swój rozkwit.

Lokomobilowy most na Sanie

O kopalni w Rajsku przypomina dziś przede wszystkim tablica informacyjna, tzw. krzyż naftowy. Ropę w Rajsku wydobywano z krótkimi przerwami przez przeszło 120 lat. Podobnie jak w przypadku kopalni Wańkowa-Ropienka, w Rajsku dosyć szybko zrezygnowano z maszyn parowych. Dla wystużonych lokomobilów znaleziono nowe zastosowanie. Cztery stare kotły parowe umieszczono w korycie Sanu i stanowiły odtąd filary kładki, z której korzystali zarówno pracownicy kopalni, jak też pozostali mieszkańcy Rajskiego. Pewnym utrudnieniem dla funkcjonowania tej kopalni były wylewy Sanu. Gdy przegląda się dokumenty z dwudziestolecia międzywojennego, odnaleźć można informacje o czasowym zerwaniu komunikacji z kopalnią z uwagi na wysoki stan wody na rzece. Wspomniany most przetrwał niecałą dekadę. W 1942 roku kładka lokomobilowa została zniszczona przez wezbrane wody Sanu. Pod koniec XX wieku zakończono wydobycie ropy w rejonie Rajskiego. Szyby zlikwidowano, a w 1999 roku swoje obowiązki zakończył ostatni etatowy pracownik kopalni.

Aby przybliżyć dzieje kopalnictwa naftowego w okolicach Ustrzyk Dolnych, w 2017 roku powstał Szlak Naftowy „Jak to z ropą drzewiej bywało”. Tablice informacyjne szlaku stanęły w Ustrzykach, w Brzegach Dolnych, w Łodynie, Leszczowatym, Brelkowie i Ropience.

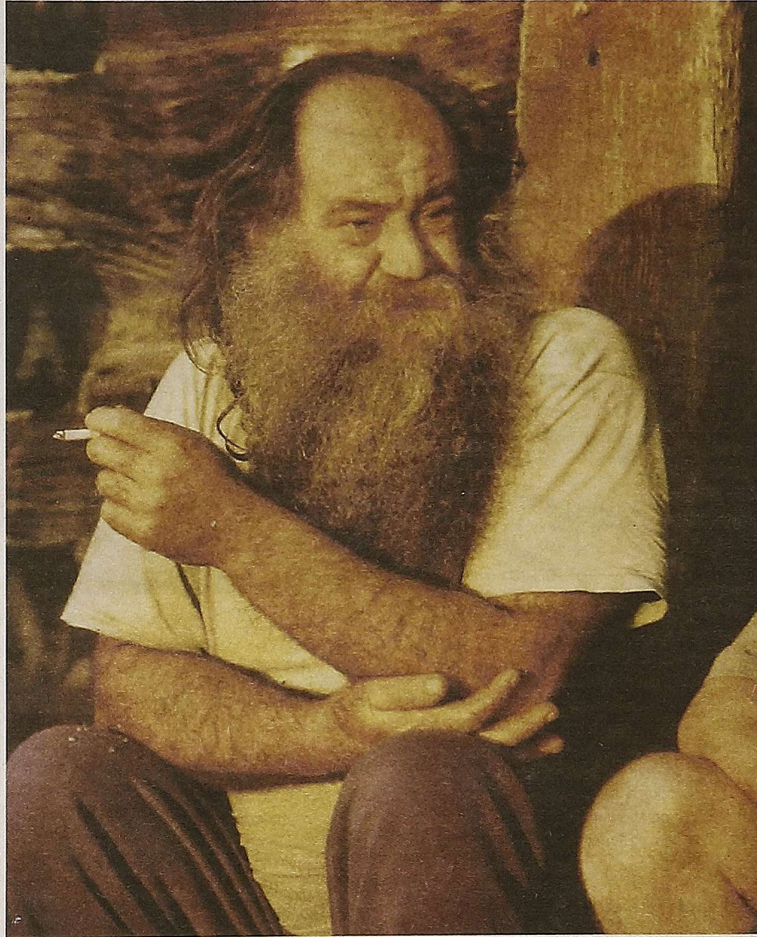
W Łodynie i Ropience jeszcze dziś zobaczyć można pracujące kiwony oraz budynki stanowiące zaplecze wciąż funkcjonujących kopalni. Natomiast w Brzegach Dolnych urządzono Minimuzeum Kopalnictwa Naftowego, gdzie można zobaczyć z bliska niektóre narzędzia i elementy maszyn stosowanych do wydobywania ropy. Ponadto umieszczono tam kolekcję tablic informacyjnych i ostrzegawczych z kopalni funkcjonujących w okolicach Ustrzyk Dolnych. Również w sanockim skansenie od dłuższego czasu znajduje się sektor przybliżający dzieje bieszczadzkiego przemysłu naftowego.

Niezależnie od wspomnianego szlaku, tablice informacyjne umieszczono również na terenie dawnej kopalni ropy naftowej w Polanie. Ropa została tu odkryta w początkach 1883 roku. Kopalnię w Polanie planowano połączyć ropociągami z Ustrzykami Dolnymi. Ostatecznie jednak rury doprowadzono jedynie do Czarnej. Wydobycie w Polanie prowadzono prawdopodobnie do końca II wojny światowej. Po powrocie Polski terenów na wschód od Sanu w 1951 roku nie uruchomiono ponownie kopalni. Prowadzono jednak prace poszukiwawcze w latach 80. ubiegłego wieku. Odkryte wówczas pokłady ropy uznano za zbyt głębokie, by ewentualna eksploatacja mogła się opłacać.

Darmowy impregnat

W niektórych miejscach w regionie wciąż obserwuje się wysięki ropy naftowej. Kałuże z ropą naftową można zobaczyć na niektórych łąkach w Uhercach Mineralnych. Jeszcze niedawno zdarzało się, że taką surową ropę nalewano do ciągników i starsze silniki diesla były w stanie pracować na nieoczyszczonym paliwie. Współcześnie bywa, że ktoś skorzysta z „darmowej” ropy, którą następnie używa np. jako impregnatu do drewna.

Chciał być daleko od cywilizacji



Henryk Lenartowski w 2004 roku. FOT. ZE ZBIORÓW HENRYKA LENARTOWSKIEGO

WSPOMNIENIE

BRONISŁAW CENDA

Kto wędrował po Bieszczadach, zapamiętał Henia. Wyróżniał się w młodości potężną posturą i długą czarną brodą. Niewątpliwie należał do oryginałów. Zapamiętały go również dzieci. Mój wnuk po powrocie do Krakowa z jednej z bieszczadzkich eskapad, zapytany: „Piotruś, jak tam było?”, odpowiedział: „Dobrze, tylko dziadek Broniek ma tam takich dziwnych kolegów”.

Henryk Lenartowski był bieszczadnikiem od czterdziestu lat. Mieszkał w Balcyni, Nowym Łupkowie, Jaworcu, Roztokach Górnych, Łupkowie, Cisnej, Kalnicy, Smolniku nad Ostawą, ale również w Banicy i Duląbce w Beskidzie Niskim.

Urodził się 8 marca 1950 roku w Krotoszynie w województwie wielkopolskim. Jego dziadkowie – Franciszek Lenartowski i Michał Konieczny to powstańcy wielkopolscy. Po ukończeniu szkoły podstawowej odbył dwuletnią praktykę, kurs i zdał egzamin na czeladnika instalatora sanitarnego. Po służbie wojskowej osiem lat pracował w Stoczni Północnej, a później Remontowej w Gdańsku. Był pracownikiem straży pożarnej, rurarzem i malarzem. Jak wspominał: „... w czasie wydarzeń w 1970 roku zostałem zabrany z ulicy na 9 dni aresztu i wypuszczony bez wyroku.” Następnie pracował dwa lata w prywatnym zakładzie instalacyjnym w Kostrzynie koło Krotoszyna i rok w Gazomontażu Wołomin.

Ucieczka w Bieszczady

Był dwukrotnie żonaty, miał troje dzieci. Proza życia rodzinnego na tyle go „przygniotła”, że uciekł w Bieszczady. Zamieszkał najdalej jak można od cywilizacji, w małym domku dróżnika w Balcyni. Dosłownie było to paręset metrów od granicy z Czechosłowacją. Do końca życia mówił, że tam jest na stałe zameldowany. Najpierw podjął pracę dróżnika w Okręgowej Kolejce Leśnej, a później nadzorował hodowlę bydła opasowego na wolnym wybiegu w PGR Nowy Łupków.

W 1989 roku przejął jako dzierżawca baciówkę PTTK w Jaworcu. Jego współpracownikiem był Stanisław Gajewski. Jako para robocza zgodnie współpracowali i związani byli przez siedem lat. Najpierw w Jaworcu, później w Balcyni. Czasem tylko nieco się spóźniali... Na stoku przed schroniskiem w Jaworcu rosła stara jabłoń, która w 1992 roku ładnie obrodziła. „Czarny” z „Rudym”, bo tak ich nazwaliśmy, uzgodnili, że jabłka obiorą nazajutrz i zrobią wino. Niestety w nocy przyszedł niedźwiedź i zjadł prawie wszystkie owoce.

Henia poznaliśmy (z Czarkiem Długoszem) w styczniu 1990 roku w czasie naszej kolejnej, zimowej wędrowki po Bieszczadach. Można powiedzieć, że był współzałożycielem naszego Samozwańczego Towarzystwa Miłośników Bieszczadów i członkiem jego kapituły. Wyróżniony został srebrnym medalem „Bieszczadzka Zima” nr 3. Był baczny obserwatorem przyrody. Jeżeli chodzi o ptaki na pewno można powiedzieć, że był ich znawcą. Na fachowe konsultacje przyjeżdżali ornitolodzy z całej Polski. Do Jaworca w marowym sezonie rodzice oddawali pod opiekę

Henia swoje pociechy, które miały problemy z narkotykami. Znam pozytywne przykłady. Były to czasy, gdy schronisko nie miało stałej łączności. Jedynym łącznikiem ze światem zewnętrznym było CB-radio, a czasem krótkofalówka, którą obsługiwał Henio. Do kota lub psa wchodzącego do kuchni lub jadalni mówił krótko „spier...!” - i one to dobrze rozumiały. Innych przekleństw w zasadzie nie używał. Po latach wspominał, że był jedynym dzierżawcą Jaworca, który opuścił schronisko bez długów dla PTTK.

Od chwili jego poznania odwiedzałem go, gdziekolwiek przebywał, zawsze w ziemie i w lecie. W 1994 roku „Rudy” i „Czarny” przenieśli się do bazy (schroniska studenckiego) w Banicy koło Gładyszowa. Tym razem szefem był Staszek.

Nie był zakapiorem

Heniu w Bieszczady wrócił w 1997 roku. Dozorował i remontował przez dwa lata prywatne schronisko w Roztokach Górnych. Później krótko był pracownikiem w baciówce w Jaworcu, którą dzierżawił Jan Trzeciak. Stąd na prawie cztery lata przeniósł się do Łupkowa. Dozorował prywatne schronisko przejęte po byłej strażnicy WOP. Najpierw był barmanem w barze „Przed płotem”, a później w barze „Za płotem”. Po sprzedaży obiektu w jesieni 2001 roku został bezdomnym.

W ziemie 2002 roku zamieszkał u Zygmunta Huzarskiego w Cisnej. Był to niewątpliwie trudny okres w jego życiu. Następnie przez dwa lata budował pierwszą chatę i był jej gospodarzem w Smolniku. Jest to pięknie położone schronisko na stokach Kiczery (665 m n.p.m.), na skraju Łądowska Samolotów. Heniu nazywał to miejsce „Małą Połoniną”. Stąd został „uprowadzony” na gospodarza remontowanej chaty do Duląbki w Beskidzie Niskim. Trwało to jednak tylko cztery miesiące.

W 2003 roku Andrzej Potocki zaproponował mu wywiad do pierwszego wydania książki „Majster Bieda, czyli zakapiorskie Bieszczady”. Był oburzony i zdecydowanie odmówił – „Przecież ja nie jestem zakapiorem. Nie prowadzę zakapiorskiego stylu życia, bo przecież pracuję”.

Dwa lata później odzyskał go dla Bieszczadów Krzysztof Sygnecki. Tu do końca życia w gospodarstwie agroturystycznym „Zagroda Chryszczata” w Smolniku nad Ostawą był gospodarzem, barmanem, a w ostatnich latach rezydentem. W 2001 roku zaczął rzeźbić w drewnie. Jego „poryw artystyczny” był jednak krótki, bo mocno skaleczył sobie dętą rękę. Mam w swoich bieszczadzskich zbiorach jedną z pierwszych jego płaskorzeźb na desce – „Najświętsze Serce Pana Jezusa”.

Koncert nad mogiłą

W ostatnich latach życia przyjacielską atmosferę i spokój ducha zapewniał mu właściciel „Chryszczatej” Krzysztof Sygnecki. Henryk mógł spokojnie oddać się internetowi. Swojego przebiegu pracy zawodowej nigdy nie zwerifikował, dlatego „wylądował” na rencie, później zaś na emeryturze socjalnej.

Zmarł 1 maja 2021 roku. Został pochowany na cmentarzu w Nowym Łupkowie w otoczeniu grobów Krzysztofa Sygneckiego i Krystyny Rados. Żegnało go liczne grono kolegów i przyjaciół oraz rodzina. Nad grobem przemawiali Ryszard „Bury” Denisiuk i Jolanta Maria Trzeciak, a wiersz wyrecytował Andrzej Kirim Załęski. Po pogrzebie Jan Sygnecki zorganizował muzyczny wieczór, na której zagralo na gitarach czterech bieszczadzskich muzyków.

Niech spoczywa w pokoju.

REPORTAŻ

MARTYNA SOKOŁOWSKA

Zginął, bo wiedział za dużo? (II)

Marek Pomykała 24 lata temu wyszedł z domu i ślad po nim zaginął. Do dzisiaj nie wiadomo, co się z nim stało. Publikujemy drugą część artykułu odsłaniającego kulisy sprawy i wznowionego śledztwa. Pierwsza część ukazała się w numerze 13 GB.

Świadkiem czynności na miejscu zdarzenia był młody milicjant, Krzysztof Pyka, podwładny Tadeusza P. Widział, jak tuszowano jego prawdziwe okoliczności. Odgrażał się przełożonym, że nie zostawi tak sprawy i będzie dążył do ujawnienia prawdziwych okoliczności wypadku. Jak relacjonuje Maria Gendera, przyjaciółka Krzysztofa Pyki, milicjant skarżył się jej, że jest zastraszany przez przełożonych i zmuszany przez nich do podpisania fałszywego protokołu z miejsca zdarzenia.

- Sprawa nie dawała Krzyżkowi spokoju, mówił znajomym, że jej tak nie zostawi. Po kilku dniach przyszedł do nas i powiedział, że zmuszają go do podpisania protokołu, który świadczy na ich korzyść, Krzyśiek się na to nie zgodził. Mówił, że sumienie mu na to nie pozwala - wspomina Maria Gendera.

Po kilku dniach odwiedził znajomą ponownie. - Rozplakał się i powiedział: „Oni mi grożą i mnie straszą. Mario, ja nie wiem co mam zrobić”. Więc ja mu odpowiedziałam, Krzyśiek nie odpuszczaj, tylko rób tak, jak ci dyktuje sumienie. No i Krzyśiek nie podpisał...

W nocy z 12 na 13 grudnia Krzysztof Pyka zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Z ustaleń wynikało, że wieczór spędził w ośrodku Jawor w Polańczyku, gdzie miał pić alkohol z kolegą. W pewnym momencie dołączył do nich milicjant z komisariatu w Polańczyku, Wiesław M. Kilukrot nie oferował Pyce, że odprowadzi go do domu, ten odmawiał mówiąc, że wróci z kolegą. Jednak około północy wyszli razem z pomieszczenia, w którym pili alkohol. M. twierdzi, że usiedli na ławce i nie więcej nie pamięta.

Woda oddała ciało

Młodego milicjanta na własną rękę szukała rodzina i znajomi, ale bez skutku. - Lesko huczało od plotek, że Krzyśiek zginął, bo chciał ujawnić prawdę o wypadku - mówi Maria Gendera.

3 lutego 1986 roku ciało Krzysztofa Pyki wylądowało z Zalewu Solińskiego niedaleko stacji WOPR. Pani Maria była wówczas na miejscu. - Pamiętam, że milicjanci zwrócili uwagę na to, że Krzyśiek wypłynął twarzą do góry, a nie plecami, jak to zazwyczaj ma miejsce w przypadku utonięcia. Był w kożuchu, na ręce miał zegarek, na szyi szalik zrobiony na drutach przez żonę, ciemne spodnie i sweter. W jednej dłoni zaciśniętej w pięść trzymał gałąź czy trawę, w kieszeni miał legitymację służbową. Dyskusja zmierzała do tego, że został zamordowany - relacjonuje nasza rozmówczyni.

Okoliczności śmierci młodego milicjanta nigdy nie wyjaśniono. Świadkowie zastaniają się niepamięcią.

(...)
W dniu, kiedy Pyka zaginął, w Polańczyku widziany był także wicekomendant leskiej policji, Tadeusz P. Nie ustalono, czy spotkał się z Pyką tego wieczoru.

Anonim do Kiszczaka

W kwietniu 1986 roku na biurko Czesława Kiszczaka, ówczesnego ministra spraw wewnętrznych, trafił anonim, w którym autor opisuje jak tuszowano sprawę wypadku w Łęczkach i śmierć Krzysztofa Pyki. Jako sprawcę obu tych śmierci wskazuje Tadeusza P. „Pytano się milicjantów, dlaczego godzą się na takie fałszerstwo, a oni odpowiadali, że takie dostali polecenia i muszą je wykonać, bo inaczej spotkają ich przykrości ze strony komendanta P.” - czytamy w piśmie. Apełuje też do Kiszczaka o zajęcie się sprawą.



Posesja w Wołkowie, na której szukano śladów ewentualnej zbrodni. FOT. MARTYNA SOKOŁOWSKA

W lipcu 1986 roku ruszyło ponowne śledztwo, sprawa trafiła na biurko prokuratora Zygmunta Stabika (...). Po przeanalizowaniu zebranej dokumentacji w prowadzonym wcześniej śledztwie nie dopatrzył się nieprawidłowości, uznał że samochód w Łęczkach prowadził ojciec wicekomendanta P. i to on spowodował śmiertelny wypadek, a sam P. ze sprawą śmierci Krzysztofa Pyki nie miał nic wspólnego.

„Sierżant Pyka, co nikogo nie zamyka”

Akta Operacyjne Służby Bezpieczeństwa z tego postępowania znajdują się w rzeszowskim oddziale IPN-u. Postępowanie wyjaśniające w sprawie wypadku w Łęczkach prowadził porucznik Henryk Polak. Miał ustalić, kto faktycznie siedział za kierownicą w dniu, kiedy doszło do zdarzenia.

(...)

Porucznik Polak jeszcze raz przeanalizował zebraną w sprawie dokumentację, przesłuchał świadków, ale wiele nie wskazał, bo jak relacjonował w jednej z notatek, „ci co byli świadkami wypadku niechętnie na ten temat rozmawiają nawet w gronie najbliższych znajomych. Przeważnie zastaniają się niepamięcią”. Co ciekawe, żaden z tych świadków podczas okazania nie rozpoznał ani Tadeusza P., ani jego ojca Franciszka jako osób, które miały związek z wypadkiem.

Pierwszym dziennikarzem, który dotarł do dokumentów w IPN i opisał sprawę wypadku w Łęczkach był Jan Joniak. W 2012 roku na łamach miesięcznika „Puls Bieszczadów” ukazał się tekst jego autorstwa pt.: „Sierżant Pyka, co nikogo nie zamyka”. Ujawnił w nim ówczesny model działania milicji i prokuratury, która zrobiła wszystko, aby ukryć sprawę łeb. Z milicjantem Pyką znał się osobście. - To był bardzo uczciwy, dobry człowiek i zdolny policjant - mówi.

Przyznaje, że wiele osób wiązało zaginięcie Pyki ze śmiertelnym wypadkiem w Łęczkach. - Forsowano wersję o samobójstwie i o tym, że Krzyśio przypadkiem wpadł do wody, ale tych wersji nikt ze znajomych nie brał pod uwagę. Jestem przekonany, że to nie było samobójstwo - podkreśla nasz rozmówca.

Prokuratorskie śledztwo

Wróćmy do 2014 roku. Po sensacyjnych zeznaniach Wioletty Z. Prokuratura Okręgowa w Rzeszowie wszczęła śledztwo w sprawie zabójstwa milicjanta Krzysztofa Pyki i dziennikarza Marka Pomykały. Jedną z osób przesłuchiwanych w sprawie była także Ewa P., była żona Tadeusza P. Zeznała, że jej mąż

wielokrotnie mówił jej o tym, że to on spowodował wypadek w Łęczkach i zabił Krzysztofa Pykę.

Mimo zeznań kobiet, Tadeusz P. nie został przesłuchany ani w charakterze świadka, ani podejrzanego. Prokurator prowadząca sprawę nie znalazła też przesłanek, aby zlecić przeszukanie posesji w Wołkowie należącej do byłego policjanta, gdzie zginąć miał Marek Pomykała.

Śledczy badali też sprawę wypadku w Łęczkach. Prokuratura ustaliła, że sprawcą wypadku był Tadeusz P., a nie jak forsowano wcześniej, jego ojciec. Ze względu na fakt, że sprawa się przedawniła, sprawca nie poniósł odpowiedzialności karnej.

W 2015 roku śledztwo w sprawie zabójstwa Krzysztofa Pyki i Marka Pomykały zostało umorzono.

Szokujący mail od byłego policjanta

Rok później na skrzynkę mailową jednego z krośnieńskich wydawców wpłynęła wiadomość od byłego policjanta Tadeusza P. z propozycją wydania książki, która miała powstać na podstawie jego wspomnień. „Składam propozycję współtworzenia książki będącej moimi autentycznymi wspomnieniami o czynach przestępczych, jakich dopuściłem się pracując w resorcie IPN. Jestem emerytowanym oficerem policji. Pracowałem w Bieszczadach. Historia tych spraw jest do dnia dzisiejszego żywa i bulwersująca w tym regionie. Nastąpiło przedawnienie więc może ujrzeć światło dzienne” (pisownia oryginalna - przym. red.).

Dalej P. przytacza sprawę śmiertelnego wypadku w Łęczkach i zaginięcia, a jak pisze w dalszej części wiadomości „usunięcia” dwóch osób, „milicjanta i osoby stojącej kilka metrów od wypadku”, które były bezpośrednimi świadkami tego wypadku. „Całe skrócenie zostało wykonane przy wybitnej pomocy resortu MSW (...)” - czytamy w wiadomości. „Z uwagi na przedawnienie w dniu dzisiejszym bez obaw o pociągnięcie do odpowiedzialności można opowiedzieć i rzucić z siebie jarzmo tych czynów i 30 lat jarzma życia w oczekiwaniu na karę lub przedawnienie. Mogę bez obaw podać nazwiska wszystkich osób związanych z tymi sprawami i żyjących do dnia dzisiejszego” - pisze Tadeusz P.

Kulisy zbrodni w książce?

Wydawnictwo odmówiło współpracy, ostatecznie podjął się jej Henryk Nicpoń (...). Potwierdził, że spotkał się z Tadeuszem P., który miał mu

opowiedzieć o kulisach wypadku w Łęczkach i śmierci milicjanta Krzysztofa Pyki (...).

Książka (jest według Nicponia w przygotowaniu - przym. red.) kończy się na 1986 roku, nie ma w niej więc ani słowa na temat tajemniczego zaginięcia Marka Pomykały, z którym emerytowany oficer policji jest łączony. Niemniej Henryk Nicpoń pytany przez reporterkę Super Nowości, czy rozmawiał o zaginięciu Marka Pomykały potwierdził, że jego zdaniem P. nie ma z tym jednak nic wspólnego.

31 grudnia 2020 roku śledztwo w sprawie zabójstwa Krzysztofa Pyki i Marka Pomykały zostało ponownie wszczęte. Stało się tak po nagłośnieniu szokujących kulisy tej sprawy przez dziennikarza. Sprawą zajmuje się krakowska Archiwum X pod nadzorem Prokuratury Okręgowej w Krakowie. Na wniosek śledczych Sąd Okręgowy w Krośnie zwolnił Henryka Nicponia i Jana Joniaka z tajemnicy dziennikarskiej. Na podstawie zebranych materiałów śledczy uznali, że obaj mogą mieć istotne informacje w sprawie okoliczności poprzedzających zaginięcie oraz śmierć Krzysztofa Pyki.

Sąd przychylił się do wniosku prokuratury i zwolnił ich z tajemnicy dziennikarskiej, ale Henryk Nicpoń odmówił się od tej decyzji. Pisarz nie chce ujawniać żadnych informacji w tej sprawie.

Nowi świadkowie

Chętnie mówią za to inni świadkowie. Po tym, jak sprawa zaginięcia Marka Pomykały i śmierci milicjanta Krzysztofa Pyki została nagłośniona przez media, przyjaciel sanockiego dziennikarza przypomniał sobie i zrelacjonował śledczym jedną z ostatnich rozmów, jakie z nim odbył. - Jakiś czas przed zaginięciem Marek przyszedł do mnie i zaproponował, abymy się przejechali pętlą bieszczadzką. Wróciliśmy przez Polańczyk, Hoczew i Lesko i jak przejeżdżaliśmy przez Łęczki, Marek powiedział, że prowadzi śledztwo dziennikarskie i że w tej miejscowości jakaś grupa ryba popełniła w PRL-u wypadek pod wpływem alkoholu i zabiła pieszego, a sprawie został ukroczony łeb. Pamiętam, że pytałem o nazwiska, ale nie chciał nic więcej powiedzieć. Przestraszałem go, aby na siebie uważał, bo skoro w sprawie zamieszany jest ktoś ważny, to może mu grozić niebezpieczeństwo - relacjonuje.

Istotny fakt przypomniała sobie także Ewa P., była żona Tadeusza P. - Zapytałam go kiedyś: „Jak ty możesz żyć mając na sumieniu zabicie dwóch osób” - chodziło mi o pana Krajnika, który zginął w Łęczkach i milicjanta Krzysztofa Pykę. Odpowiedział: „Mylisz się, nie dwóch, a trzech, bo trzeciego zakopałem”. Mój były mąż to człowiek bezwzględny, miał motyw, aby zabić Pomykałę i możliwe, że to zrobił - mówiła.

Przeszukali posesję

W maju na polecenie krakowskiej prokuratury przeszukano posesję w Wołkowie, która do 2016 roku należała do Tadeusza P. i na której, jak wynika z relacji świadków, miał zginąć Marek Pomykała. Czynności z udziałem biegłych trwały kilka dni. Zabezpieczono ślady, które zostały poddane wnikliwej analizie, m.in. biegłego z zakresu entomologii sądowej. - Ze względu na charakter sprawy i dobro śledztwa nie udzielamy żadnych informacji w sprawie - powiedział nam Janusz Hnatok, rzecznik Prokuratury Okręgowej w Krakowie.

Ojciec zaginionego dziennikarza przyznaje, że najbardziej zależy mu na dotarciu do prawdy. - Nie szukam zemsty, a sprawiedliwości. Chcę wiedzieć, co się stało z moim synem, jak zginął i gdzie są jego szczątki - mówi Kazimierz Pomykała.

(...)

Artykuł pierwotnie ukazał się w dzienniku Super Nowości. Dla potrzeb Gazety Bieszczadzkiej został nieco skrócony

Ustrzyki to mój drugi dom



Hanson Kumah-Doe przy piłce. FOT. ADAM BAROZIŃSKI

Z Hansonem Kumah-Doe z Ghany, od piętnastu lat mieszkającym w Polsce, piłkarzem klubu MKS Bieszczady Ustrzyki Dolne, rozmawia ADAM LEŃ

- Rozmawiamy w okresie bardzo wysokich, jak na warunki polskie, temperatur. Rozumiem, że Panu to nie przeszkadza.

No raczej nie. Nawet bardzo mi odpowiada. Prawie jak u mnie w Ghanie. Mogłoby tak być cały rok.

- Urodził się Pan w stolicy kraju Akrze. Czy było to też miejsce Pana dzieciństwa?

Tak. Urodziłem się w Akrze. Moim miejscem zamieszkania i wychowania była Achimota. To miasto w dzielnicy metropolitalnej Akry. Mój tato pracował jako celnik, wielokrotnie był zmuszony do przeprowadzki w nowe miejsce. Wtedy żyliśmy na dwa domy, jednak ze względu na szkołę, głównym miejscem była Achimota.

- W jakich okolicznościach trafił Pan do Polski?

Mój wyjazd związany był z marzeniem o grze w piłkę nożną za granicą Ghany. Piłka od najmłodszych lat była moją pasją. Pierwszym klubem w Ghanie był Great Corinthians FC, gdzie trafiłem jako junior. Gdy miałem 18 lat zostałem zauważony przez jednego działacza, który po kolejnym meczu zaproponował, że załatwi mi kontrakt w Polsce. I tak się to zaczęło. Do Polski przyjechałem w 2006 roku.

- Pana pierwszym klubem był Great Corinthians FC. Jaki był dalszy przebieg Pana kariery piłkarskiej?

Po przyjeździe do Polski pierwszym moim klubem była Stal Rzeszów, grająca wtedy w III lidze. Następnie w tym samym sezonie zostałem wypożyczony do Żurawianki Żurawica, a w kolejnym sezonie do klubu w Kańczudzie. W 2008 roku po raz pierwszy znalazłem się w Ustrzykach. Wtedy klub występował pod nazwą Bieszczady Pamoplast, i to właśnie za sprawą głównego sponsora trafiłem do tej drużyny.

- W 2010 roku był Pan na testach w Pogoni Szczecin. Miał Pan wtedy 22 lata i wydawało się, że kariera piłkarska stoi otworem. Czego zabrakło, aby stać się ekstraklasowym zawodnikiem?

Złożyło się na to wiele czynników. Tym bezpośrednim był fakt, że do Szczecina jechałem nocnym pociągiem i bezpośrednio po przyjeździe rano musiałem wziąć udział w meczu sparingowym drużyny. Po całonocnej jeździe człowiek nie jest w stanie pokazać tego wszystkiego na co go stać. Patrząc na to z perspektywy czasu wiem, że popełniłem błąd. Należało się lepiej przygotować, przede wszystkim przejechać przynajmniej dzień wcześniej i odpocząć. No i tak się skończyła moja przygoda z Pogonią. Po testach w Szczecinie dostałem kilka propozycji z zachodniopomorskiego, jednak z nich nie skorzystałem.

- Wróćmy do Pana kariery na Podkarpaciu. Po dwuletniej przygodzie z Bieszczadami na kolejne dwa sezony przeniósł się Pan do MKS Kańczuga.

Tak, aby przez kolejne grać w Sanovii Lesko, Wisłocę Dębica i Leśniku Baliogród. W 2013 roku na dwa lata powróciłem do Ustrzyk. Trzy kolejne sezony spędziłem w LKS Pisarowce.

- Aż w końcu trafił Pan do Ustrzyk po raz trzeci.

I nie przesądzając po raz ostatni. Obecny MKS Bieszczady to klub dobrze zarządzany i z dobrymi podstawami sportowymi i organizacyjnymi. To między innymi efekt współpracy i sponsorowania klubu przez hotel w Artamowie.

- Na piłce, nawet IV ligowej, świat się jednak nie kończy. Co Pan robi poza uprawianiem sportu?

Przez wiele lat gra w piłkę była moim

podstawowym zajęciem, którym się zajmowałem, i z którego się utrzymywałem. Ostatnio zacząłem to łączyć z pracą u sponsora w hotelu w Artamowie.

- W tym roku awansowaliście do IV ligi. Z jednej strony to sukces. Z drugiej duże wyzwanie. Ma Pan doświadczenie w grze na tym szczeblu rozgrywek. Czym różni się liga okręgowa od tej wyższej?

O, jest zdecydowana różnica. Tam grają zawodnicy mający doświadczenie gry w III lidze, a nawet w wyższych. Trzeba też pamiętać, że nasza krośnieńska okręgówka jest chyba najniższą ze wszystkich klas okręgowych na Podkarpaciu. Tak więc w przyszłym sezonie na pewno znajdziemy się w sytuacji, gdzie będzie nam trudno o każdy punkt. No, ale my udowodniliśmy, że też w piłkę potrafimy grać, więc może nie będzie tak źle.

- Razem z małżonką Sylwią i dwójką dzieci tworzycie Państwo wielokulturową rodzinę. Skąd pomysł na imiona dzieci – Sarah i Gabriel?

O imionach zdecydowały dwa czynniki. Po pierwsze chcieliśmy, aby nawiązywały do biblii. Sara to żona Abrahama i matka Izaaka. Gabriel – to nawiązanie do Archaniola Gabriela. Drugi powód jest już bardziej praktyczny. Chodziło nam, aby imiona były znane w języku polskim i angielskim.

- Jaki język urzędowy obowiązuje w Ghanie?

To język angielski, będący pozostałością po okresie kolonialnym. Mamy też swoje języki. Jest ich około 30, a najbardziej popularnym jest język akan, którym ja też się posługuję.

- Czy dzieci znają swoich dziadków w Ghanie?

Tak, oczywiście. Byliśmy w Ghanie z nimi dwa razy. Dzieci czują się tam bardzo dobrze. Córka jest zachwycona kulturą i kuchnią. Trochę gorzej z synem – on zdecydowanie woli pierogi i tradycyjnego schabowego, ale spędzanie czasu nad oceanem wynagradza wszystko. Staramy się, aby dzieci miały stały kontakt z moją rodziną. Moi rodzice bardzo za nimi tęsknią. W każdej wolnej chwili dzwoniemy do siebie przez Skype.

- Pana żona pochodzi z rodziny, która korzeniami sięga jeszcze okresu międzywojennego, co w Ustrzykach nie jest regułą. Nie wiem jak bardzo przywiązana jest do tradycji, ale czy wyobraża sobie pan Ustrzyki jako swoje docelowe miejsce zamieszkania i życia?

Przez te wszystkie lata pobytu w Polsce mieszkałem w wielu miejscach, od dużego miasta jak Rzeszów do niewielkich miejscowości. I muszę powiedzieć, że Ustrzyki spodobały mi się najbardziej i traktuję je jak swój drugi dom.

- Wyobraźmy sobie sytuację. Katar, 18 grudnia 2022 rok. Finał mistrzostw świata – grają Polska i Ghana. Za kim kibicowałby Hanson Kumah-Doe?

Nie jest Pan pierwszym, który zadał mi to pytanie. O to samo pytały mnie moje dzieci. To jest bardzo trudna odpowiedź, na którą nie jestem w stanie tak zupełnie szczerze odpowiedzieć.

- Pozostawmy przy tym składzie finału, a wynik niech będzie sprawą otwartą. Dziękuję za rozmowę.

Sprostowanie

W 13 numerze „GB” w informacji o awansie drużyny MKS Arłmów Ustrzyki Dolne do IV ligi podana została informacja, że prezes Arłmów SA Michał Kozak jest równocześnie viceprezesem MKS Bieszczady Ustrzyki Dolne, co jest niezgodne z prawdą. Za pomyłkę przepraszam.

Adam Leń

Sportowcy z „Kopernika” w czołówce

Zakończyła się rywalizacja sportowa w ramach Igrzysk Młodzieży Szkolnej oraz Igrzysk Dzieci. Z sukcesami startowali uczniowie ustrzyckich szkół, zajmując czołowe lokaty, a nawet wygrywając niektóre zawody.

W poprzednim wydaniu GB pisaliśmy o sukcesie uczniów ze Szkoły Podstawowej nr 1, którzy drużynowo w finale wojewódzkim trójboju lekkoatletycznego zajęli pierwsze miejsce, a indywidualnie na dwóch czołowych pozycjach uplasowali się reprezentanci tej szkoły: Gabriel Goszczurny i Szymon Kozak.

Sukcesów młodszych kolegów pozazdrościli starsi uczniowie z klas V-VI, rywalizujący w czwórboju lekkoatletycznym. Najpierw wygrali zawody rejonowe w Sanoku, a następnie w rywalizacji z dwunastoma innymi finalistami



Drużyna czwórboistów z SP 1 Ustrzyki Dolne ze swoim nauczycielem Piotrem Ozogiem

FOT. ARCHIWUM SP 1 USTRZYKI D.

na stadionie MOSiR w Mielcu zajęli trzecie miejsce. Najlepszym sportowcem igrzysk okazał się zdobywca 193 punktów Michał Kurywczak z SP 1 Ustrzyki Dolne.

Drużyna chłopców w Rzeszowie wystąpiła w składzie: Wojciech Dopart, Marcel Grzejszyk, Łukasz Hendzlik, Miłosz Kurywczak, Dawid Podkalicki oraz Dawid Tomkiewicz. Najmłodszy uczeń klasy II i III rywalizował w ramach konkursu „Baw się z nami”. Jest przeprowadzany w formie zabawowej z elementami sportowymi. Uczestnicy zmagali się w kilku konkurencjach, między innymi w biegach sztafetowych, biegach w workach, rzutach do kosza, strzałach na bramkę. Jak zawsze zmagania najmłodszych budziły niezwykłe emocje. Zawody wygrały dzieci ze SP Niedźwiada Dolna koło Ropczyc. Drugie miejsce przypadło uczniom i uczennicom z ustrzyckiej Szkoły Mistrzostwa Sportowego.

Zawody „Baw się z nami” były ostatnimi, jakie rzeszowski Szkolny Związek Sportowy przeprowadził w mijającym roku szkolnym. W związku z epidemią, wiele już zaplanowanych odwołano lub niedokończono. W sumie rozegrano siedem finałów wojewódzkich, piętnaście imprez rejonowych oraz kilkadziesiąt eliminacji powiatowych. W tym roku SZS nie przeprowadził oficjalnej klasyfikacji szkół. Chcąc jednak dać satysfakcję ekipom, które zdecydowały się podjąć rywalizację, sporządził nieoficjalny ranking na podstawie rozegranych zawodów.

Pierwsze miejsce wywalczyła szkoła w Pruchniku (pow. jarosławski). Dwa kolejne przypadły szkołom nr 4 i 1 z Sanoka. Czwarte miejsce zajęła szkoła z Zaczernia (powiat rzeszowski). Na wysokim piątym miejscu została sklasyfikowana ustrzycka „Jedynka”, a SMS z Ustrzyk znalazła się na ósmej pozycji na 143 sklasyfikowane szkoły.

/ela/

Drożdżowe bulboniki z nadzieniem



Tego typu wypieki świetnie sprawdzają się na rodzinnych wyprawach lub jako poczęstunek dla gości. Farsze do bułeczek wykonujemy typowo jak do pierogów. Mogą być ziemniaczane, kapuściane, z kaszą lub grzybami. Można też z farszem słodkim (ser, mak, powidła, borówki czy też jabłka).

Produkty: 1 kg mąki pszennej, 4 jajka, 40 dag smalcu, 4 szklanki śmietany 18%, 100 g drożdży, 4 duże łyżki cukru. W kubku rozcieramy drożdże z cukrem. Do miski wbijamy jajka, dodajemy śmietanę i chwilę ucieramy. Następnie dodajemy rozrzucone z cukrem drożdże i dobrze mieszamy. Na stolnicę wysypujemy mąkę, robimy dołek i wlewamy masę jajeczno-śmietanową. Ciasto siekamy przez chwilę nożem. Następnie dodajemy zimny smalec, dalej siekamy nożem, a następnie zagniatamy rękoma. W pierwszej kolejności ciasto trzeba rozwałkować na prostokąt, a następnie pokroić na kwadraty. Nakładamy dowolny farsz, zwijamy w okrągłe lub podłużne bułeczki (według uznania), smarujemy roztrzepanym jajkiem i posypujemy solą lub ulubionymi ziołami. Pieczemy do zrumienienia. Smacznego!

B.M.C

O zastosowaniu liści porzeczki czarnej (II)

Liście porzeczki czarnej mają zastosowanie w kosmetyce. Kosmetyki z wyciągami z liści opóźniają procesy starzenia się skóry, działają przeciwzmarszczkowo, napinają, ujędrniają i łagodzą. Garbniki zawarte w liściach mają właściwości ściągające, przeciwzapalne, zwężają rozszerzone pory. Łagodzą zmiany trądzikowe, oczyszczają i odświeżają skórę, dlatego bardzo dobrze sprawdzają się w pielęgnacji skóry problemowej, zanieczyszczonej i tłustej. Preparaty z wyciągami z liści porzeczki redukują zaczerwienienie skóry, wzmacniają ścianę naczynek krwionośnych, działają antybakteryjnie. Lekko rozjaśniają skórę i poprawiają jej koloryt skóry.

Aby w domowych warunkach zrobić tonik z liści wystarczy wykorzystać odwar lub wykonać własny hydrolat. Do tego celu potrzebujemy tradycyjnej włoskiej kawiarki, dwóch szklanek liści i jednej szklanki demineralizowanej wody. Do sitka kawiarki wkładamy liście, do pojemnika nalewamy wodę i stawiamy na ogniu. Hydrolat skrapla się w górnej części kawiarki. Wystarczy go zlać i wykorzystać jako tonik do pielęgnacji cery.

W celach zdrowotnych najprościej jest zrobić odwar. Jak go wykonać? Świeże lub suszone liście (1 łyżeczka) należy zalać 250 ml wody i gotować na małym ogniu przez 5 minut. Odstawić do naciągnięcia na



około 15 minut. Odwar należy pić 2-3 razy dziennie.

Jak wspominałam w poprzednim artykule, liście czarnej porzeczki działają przeciwwirusowo, przeciwbakteryjnie, grzybobójczo, ściągająco, napotnie, przeciwgorączkowo, przeciwgośćcowo i moczoćpnie. Napary i odwary mają zastosowanie w chorobach gośćcowych, chorobach nerek i pęcherza moczowego, w niezbytach żółdka i jelit, biegunkach, kolkach i migrenie. Odwary można stosować zewnętrznie przy chorobach skórnych i owrzodzeniach.

Dominika Pzyziółka Barć

<http://zielarstwo.rzeszow.pl>, <https://www.facebook.com/zielarstwo.rzeszow/>, <https://www.facebook.com/chatazielarki/>
Źródło: <https://climb2change.pl/czarna-porzeczka-kosmetyce/>

KONKURS BIESZCZADZKIEGO PARKU NARODOWEGO



FOT. EWA BUJAŁSKA

Pokazana na fotografii roślina dorasta nawet do 1,5 m wysokości. Zakwita z końcem czerwca i w lipcu. Jej naturalnym siedliskiem w Bieszczadach są widne grądy i buczyny oraz połoninowe ziołorośla. Mocno pachnące kwiaty zapylają motyle. Rozmnaża się zarówno poprzez nasioną, jak i wegetatywnie przez wytwarzanie nowych cebulek u nasady cebuli macierzystej. W Polsce jest rzadką rośliną objętą ochroną ścisłą. Zagroza jej przede wszystkim człowiek, zrywając kwiaty na bukiety, wykopując i przesadzając naturalnych stanowisk do ogrodów. Jej gwarowa nazwa „janowa

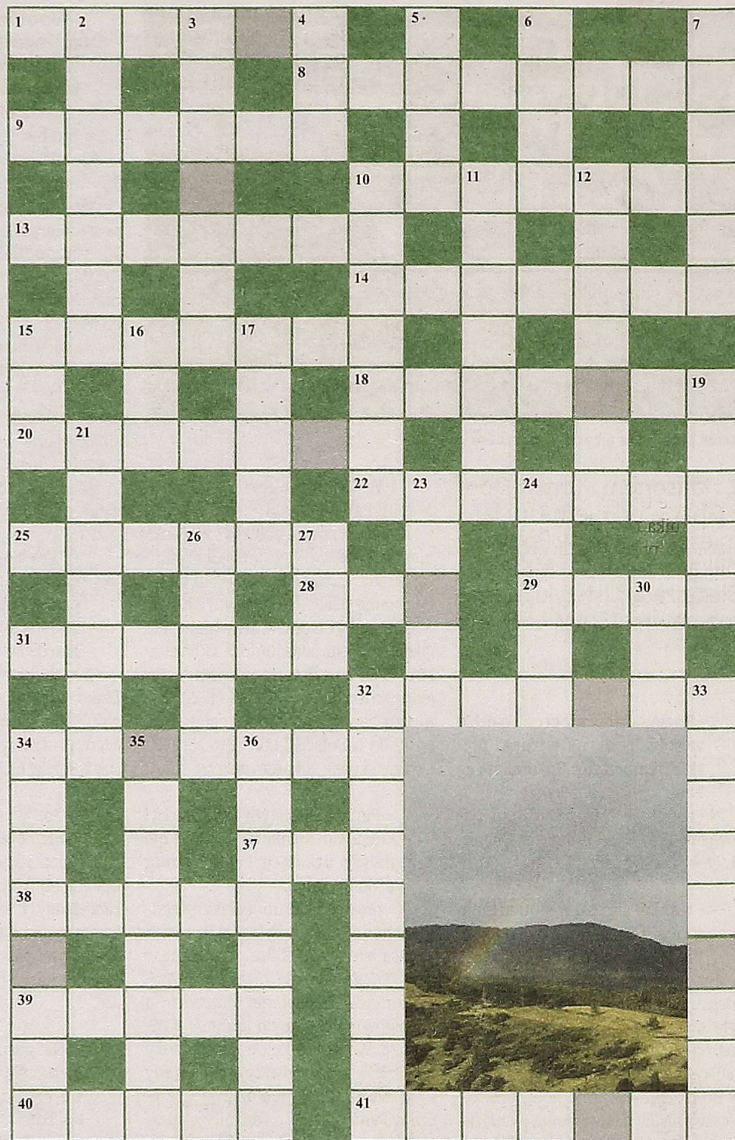
lilia” najprawdopodobniej wzięła się stąd, że rozkwita najintensywniej w okolicach 23 czerwca, czyli na św. Jana.

Jak nazywa się opisana przez nas roślina? Odpowiedź prosimy przysłać wyłącznie mailowo na adres: konkurs@bieszczadzka24.pl do 15 lipca 2021 r.

Spośród prawidłowo nadesłanych odpowiedzi rozlosujemy nagrodę, która zostanie dostarczona przesyłką pocztową. Prawidłowa odpowiedź zagadki z nr 13/2021 „GB” to: **Nornica ruda**. Nagrodę wylosowała **Pani Barbara Furman**.

KRZYŻÓWKA REGIONALNA

KUPON 727



POZIOMO:

1) miejscowość w gminie Ustrzyki Dolne, pod którą w bitwie konfederatów barskich w 1769 śmiertelnie ranny został Franciszek Pułaski; 8) beceremonialnie, prosto w oczy, prosto z mostu; 9) autor dramatów „Człowiek jak człowiek”, „Opera za 3 grosze” i „Karabiny pani Carrar”; 10) na talerzu nie zastukają; 13) Wasilij (ur. 1921); rosyjski szachista, mistrz świata w latach 1957-1958; 14) sztuka komponowania bukietu po japońsku; 15) Lech, rockman z „Rowerem”; 18) pięćcłonowy związek heterocykliczny zawierający w pierścieniu trzy atomy azotu; 20) podśpiewywanie; 22) Morska na Mierzei Wiślanej; 25) Zygmunt... pułkownik WP, legionista, uczestnik walk w wojnie polsko-bolszewickiej; 28) ...Surehand, przyjaciel Winnetou; 29) dajemy na nią składkę; 31) imię Krasickiego, właściciela leskiego zamku, uczestnika walk II Brygady Legionów; 32) pomogła Tezeuszowi wydostać się z labiryntu; 34) wielki bęben używany przez tureckie pułki janczarskie; 37) legendarny cesarz chiński 2356-2258 p.n.e.; 38) okres egzaminów na uczelni; 39) najwyższa grupa górską w Karpatach; 40) broń ułana; 41) imię generała, przebijającego na przełomie lat 60. i 70. w Rajsku.

PIONOWO:

2) bardzo duża; 3) miejsce z dala od zgiełku; 4) polska formacja wojskowa, popularnie zwana „terytoriali”; 5) wieś nad Cybiną ze stadniną koni; 6) liczba w tytule pamiętnika Aleksandra Fredry; 7) dziesięciolecie; 10) zgrzyt na kożuchu; 11) góry z Trzema Koronami; 12) w Bieszczadach występuje: górską, karpacką i grzebieniastą; 15) pierwsze imię Kantego Podoleckiego, poety z Rzepedzi, zwany Jaśkiem z Beskidu; 16) alternatywa wszystkich; 17) przez PKOl-u 1978-1986; 19) najlepszy środek lokomocji w dżungli; 21) śpiewała Dmuchawce, latawce, wiatr...; 23) lokalizuje samoloty; 24) pułkownik, przekazał spadek na szkoły w gminie Ustrzyki Dolne; 26) ... do celu droga; 27) spada na cztery łapy; 30) ciąg dalszy nastąpi; 32) członek II triumwiratu, związał się z Kleopatry; 33) ukończył szkołę; 34) pogardliwie, z niechęcią o kobiecie; 35) Grażyna, w latach 1978-86 rekordzistka świata w biegu na 100 m przez płotki; 36) bitka, bitwa, walka, szarpanina, szamotanina.

Z liter znajdujących się w szarych okienkach należy ułożyć hasło będące rozwiązaniem krzyżówki. Rozwiązania prosimy nadsyłać do redakcji do 15. 07. 2021 r.

W losowaniu nagrody wezmą udział wyłącznie rozwiązania nadesłane na kuponach wyciętych z „GB”. Fundatorem nagrody za rozwiązanie krzyżówki nr 727 jest „Gazeta Bieszczadzka”.

Wyniki losowania nagrody za krzyżówkę nr 727 zostaną opublikowane w „GB” nr 15/2021.

Nagrodę za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 726 otrzymuje **Pani Anna Szczepanik**.

Hasło krzyżówki nr 726 brzmiało: **„BARBARKA”**.

W sprawie odbioru nagrody za rozwiązanie krzyżówki prosimy o kontakt telefoniczny pod numerem 13 461 13 22 lub mailowo - redakcja@bieszczadzka24.pl

OGŁOSZENIE BURMISTRZA USTRZYK DOLNYCH

z dnia 9 lipca 2021 r.
o wyłożeniu do publicznego wglądu:
projektu miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego
„Przemysłowa II” – etap II,

Na podstawie art. 17 pkt 9 ustawy z dnia 27 marca 2003 r. o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym (j. t. Dz. U. z 2021 r. poz. 741 z późn. zm.), art. 39 ust. 1 i art. 54 ust. 2 ustawy z dnia 3 października 2008 r. o udostępnianiu informacji o środowisku i jego ochronie, udziale społeczeństwa w ochronie środowiska oraz o ocenach oddziaływania na środowisko (j. t. Dz. U. z 2021 r. poz. 247 z późn. zm.) **zawiadamiam o wyłożeniu do publicznego wglądu projektu miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego „Przemysłowa II” – etap II, obejmującego teren położony w miejscowości Ustrzyki Dolne oraz Ustjanowa Górna wraz z prognozą oddziaływania na środowisko (Uchwała Nr VI/64/19 z dnia 29 stycznia 2019 r. w sprawie przystąpienia do sporządzenia miejscowego planu zagospodarowania „Przemysłowa II”), w dniach od 19 lipiec 2021 r. do 10 sierpnia 2021 r. w siedzibie Urzędu Miejskiego w Ustrzykach Dolnych, ul. Kopernika 1, 38-700 Ustrzyki Dolne, pokój nr 12 A w godzinach pracy Urzędu po uprzednim uzgodnieniu pod nr tel. 13 460-80-27 oraz na stronie internetowej Urzędu Miejskiego w Ustrzykach Dolnych.** Projekt MPZP „Przemysłowa II” – etap II wraz z Prognozą oddziaływania na środowisko w ustalonym terminie wyłożenia zostanie również opublikowany na stronie BIP Urzędu Miejskiego w Ustrzykach Dolnych pod adresem: http://www.bip.ustrzyki-dolne.pl/dokumenty_rodzaj-34-projekty_uchwal_rady_miejskiej.html Dyskusja publiczna nad przyjętymi rozwiązaniami w projekcie planu miejscowego „Przemysłowa II” – etap II odbędzie się w dniu 19 lipca 2021 r. o godz. 14.00, w sali nr 13, w siedzibie Urzędu Miejskiego w Ustrzykach Dolnych, ul. Kopernika 1, 38-700 Ustrzyki Dolne. Dyskusja publiczna nad przyjętymi w projekcie rozwiązaniami odbędzie się z ograniczeniami sanitarnymi, które obowiązują na terenie Rzeczypospolitej Polskiej. **Szczegółowe informacje dotyczące zasad udziału w dyskusji publicznej zostaną ogłoszone na stronie internetowej BIP**

Urzędu Miejskiego w Ustrzykach Dolnych w zakładce **obwieszczenia**.

Zgodnie z art. 18 ust. 1 ustawy z dnia 27 marca 2003 r. o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym, każdy, kto kwestionuje ustalenia przyjęte w projekcie planu miejscowego, może wnieść uwagi. Uwagi do projektu planu miejscowego należy składać do Burmistrza Ustrzyk Dolnych z podaniem imienia i nazwiska lub nazwy, adresu zamieszkania albo siedziby oraz oznaczenia nieruchomości, której uwaga dotyczy, w nieprzekraczalnym terminie do dnia 25 sierpnia 2021 r.:

w formie papierowej w Urzędzie Miejskim w Ustrzykach Dolnych, ul. Kopernika 1, 38-700 Ustrzyki Dolne lub na adres urzędu,

w formie elektronicznej za pomocą środków komunikacji elektronicznej – poczty elektronicznej na adres: um@ustrzyki-dolne.pl,

w formie elektronicznej za pomocą elektronicznej skrzynki podawczej opatrzone kwalifikowanym podpisem elektronicznym, podpisem zaufanym albo podpisem osobistym. Równocześnie zgodnie z art. 39 ust. 1 ustawy z dnia 3 października 2008 r. o udostępnianiu informacji o środowisku i jego ochronie, udziale społeczeństwa w ochronie środowiska oraz o ocenach oddziaływania na środowisko, informuję o możliwości składania uwag i wniosków do prognozy oddziaływania na środowisko w nieprzekraczalnym terminie do dnia 25 sierpnia 2021 r., w formie pisemnej lub ustnie do protokołu w siedzibie Urzędu Miejskiego w Ustrzykach Dolnych, ul. Kopernika 1, 38-700 Ustrzyki Dolne albo za pomocą środków komunikacji elektronicznej na adres: um@ustrzyki-dolne.pl bez konieczności opatrywania ich bezpiecznym podpisem elektronicznym.

Organem właściwym do rozpatrzenia uwag i wniosków jest Burmistrz Ustrzyk Dolnych

Z UP. BURMISTRZA
MICHAŁ WNUK
ZASTĘPCA BURMISTRZA



Ogłoszenie

Działając w oparciu o uchwały Rady Miejskiej w Ustrzykach Dolnych: nr XXI/286/20 z dnia 5 lutego 2020 r. w sprawie wyrażenia zgody na sprzedaż położonej na terenie miasta Ustrzyki Dolne nieruchomości mienia komunalnego oraz nr XLIII/592/18 z dnia 23 lutego 2018 r. w sprawie wyrażenia zgody na sprzedaż położonej na terenie miejscowości Brelików, nieruchomości mienia komunalnego – Burmistrz Ustrzyk Dolnych ogłasza:

1). I publiczny przetarg ustny nieograniczony na sprzedaż niezabudowanej nieruchomości położonej w miejscowości Ustrzyki Dolne, oznaczonej numerem działki 73/2 o powierzchni 0,1111 ha.

Cena wywoławcza nieruchomości: 79.000,00 - zł

Wadium : 10.000,00-zł

Dla opisanej nieruchomości prowadzona jest księga wieczysta nr KS2E/00020412/1 przez Sąd Rejonowy w Lesku Zamiejscowy Wydział VII Ksiąg Wieczystych w Ustrzykach Dolnych.

Na przedmiotową nieruchomość Gmina Ustrzyki Dolne nie posiada opracowanego planu zagospodarowania przestrzennego ani nie została wydana decyzja o warunkach zabudowy i zagospodarowania przestrzennego terenu, o której mowa w przepisach o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym.

2). I publiczny przetarg ustny nieograniczony na sprzedaż nieruchomości niezabudowanej położonej w miejscowości Brelików, oznaczonej numerem działki 183/2 o powierzchni 0,0569 ha.

Cena wywoławcza nieruchomości : 7.016,00- zł

Wadium : 1.000,00- zł

Dla opisanej nieruchomości prowadzona jest księga wieczysta nr KS2E/00036884/5 przez Sąd Rejonowy w Lesku VII Wydział Zamiejscowy Ksiąg Wieczystych w Ustrzykach Dolnych.

Na przedmiotową nieruchomość Gmina Ustrzyki Dolne nie posiada opracowanego planu zagospodarowania przestrzennego ani nie została wydana decyzja o warunkach zabudowy i zagospodarowania przestrzennego terenu, o której mowa w przepisach o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym. Działka nr 183/2 objęta jest użytkowaniem Ps III – pastwiska trwałe klasy III.

Przetarg odbędzie się w dniu 12 sierpnia 2021 r.

o godz. 10⁰⁰, w Urzędzie Miejskim w Ustrzykach Dolnych w sali nr 13.

W przetargu mogą brać udział osoby fizyczne i prawne, które wpłacą wyżej podane wadium w pieniądzu na konto nr 93 8621 0007 2001 0012 3347 0003 w Bieszczadzkim Banku Spółdzielczym w Ustrzykach Dolnych, najpóźniej do dnia 9 sierpnia 2021 r.

Wpłacone wadium zostanie:

- zaliczone na poczet ceny nabycia, jeżeli osoba wpłacająca wadium wygra przetarg - zwrócone, jeżeli osoba wpłacająca wadium nie wygra przetargu.

Jednocześnie informuję, iż nie przystąpienie do zawarcia umowy notarialnej na sprzedaż nieruchomości opisanej w ogłoszeniu w wyznaczonym terminie spowoduje przepadek wadium zaliczonego na poczet nabycia.

Zastrzegam sobie prawo odstąpienia od przetargu bez podania przyczyny.

Z UP. BURMISTRZA
MICHAŁ WNUK
ZASTĘPCA BURMISTRZA

Ogłoszenie

Informuję, iż w oparciu o art. 35 ust. 1 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (tekst jednolity Dz. U. z 2020 r. poz. 1990 z późn. zm.) zostanie podany do publicznej wiadomości poprzez wywieszenie na tablicy ogłoszeń w siedzibie Urzędu Miejskiego Ustrzykach Dolnych przy ulicy Kopernika 1 i na stronie internetowej Urzędu Miejskiego www.ustrzyki-dolne.pl w zakładce BIP w dniach od 9 lipca 2021 r. do 23 sierpnia 2021 r. wykaz niżej wymienionej nieruchomości stanowiącej własność Gminy Ustrzyki Dolne - **przeznaczonej do sprzedaży:**

w formie bezprzetargowej na rzecz najemcy lokalu mieszkalnego:

budynek mieszkalny jednorodzinny w zabudowie bliźniaczej o powierzchni użytkowej 86,30 m², stanowiący lokal mieszkalny położony w miejscowości Trzcianiec nr 10/1 wraz z udziałem 1/1 w gruncie działki nr 9/4 o pow. ogólnej 0,0496ha.

Z UP. BURMISTRZA
MICHAŁ WNUK
ZASTĘPCA BURMISTRZA



Informacja

Działając zgodnie z art. 35 ust. 1 i 2 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (Dz. U. z 2020 r. poz. 1990, ze zm.), informuję, że w Urzędzie Gminy w Czarnej (Czarna Górna 74) na tablicy ogłoszeń wywieszonej został wykaz na okres 21 dni, to jest od dnia 09.07.2021 r. do dnia 30.07.2021 r. nieruchomości przeznaczonych do sprzedaży w trybie bezprzetargowym nieruchomości nr ew.: 255 o pow. 0,1806 ha położonej w m. Czarna Dolna, na rzecz użytkownika wieczystego.

Osoby, którym przysługuje pierwszeństwo w nabyciu nieruchomości, o której mowa na podstawie art. 34 ust. 1 pkt 1-2 ustawy o gospodarce nieruchomościami mogą złożyć wniosek o jej sprzedaż w drodze bezprzetargowej w terminie do dnia **20.08.2021 r.** Wniosek o nabycie nieruchomości powinien zawierać oświadczenie, że nabywca wyraża zgodę na cenę ustaloną w sposób określony w ustawie. Szczegółowe informacje o nieruchomości można uzyskać w Urzędzie Gminy w Czarnej pokój nr 14 tel.: (13) 461 90 09.

WÓJT GMINY CZARNA
BOGUSŁAW KOCHANOWICZ

**W BIESZCZADACH ŻĄDAMY TYLKO
ORYGINALNYCH I MIEJSCOWYCH PIW URSA!**

Warzonych na miejscu i od podstaw w browarze w Uhercach Mineralnych wedle własnych tajnych receptur szklanej dyplomowanej piwowarki dr inż. Agnieszki Łopaty.

- Wybitny i unikalny smak
- Niepasteryzowane i nie-filtrowane
- Naturalne garzowane

Więcej informacji i zakupić
bezpłatnie w browarze:
Ursula Maier - Dac Wielka Nieświąteczna
Uherce Mineralne 122 A
tel. 13 461 25 10

FHU ADAM AGD RTV

Ustrzyki Dolne, ul. 29 Listopada 26
tel.: 13/461 29 39; 13/461 24 54

ZAPRASZAMY NA ZAKUPY

KONKURS PIOSENKI TURYSTYCZNEJ

o złotą nutkę
Korony Ustrzyckich Gór



17:00

24 lipca 2021



ustrzycki
Dom
kultury



BCTIP

**REGULAMIN ORAZ KARTA ZGŁOSZENIA
NA USTRZYCKIDOMKULTURY.PL
W ZAKŁADCE WYDARZENIA**

**TERMIN ZGŁOSZEŃ
21 LIPCA 2021 R.**

KALENDARIUM

11 lipca 1916

Cichociemny z Zagórze. W Zagórze, w kolejarzkiej rodzinie, urodził się Marian Bronisław Golasz Teleszyński. Po rocznej służbie w Szkole Podchorążych rezerwy 5 Pułku Strzelców Podhalańskich rozpoczął studia na wydziale medycznym Uniwersytetu we Lwowie. W 1940 roku aresztowany przez NKWD został zesłany do Workuty. Następnie wraz z armią gen. Andersa trafił do Iraku, a następnie do Palestyny. W wyniku naboru i po przeszkoleniu został członkiem elitarniej dywersyjnej jednostki wojskowej i w 1944 roku, jako jednego z kilkuset „cichociemnych”, zrzucono go do Polski. Był adiutantem gen. Leopolda Okulickiego. W sierpniu 1944 roku jego oddział został rozbrojony przez Sowietów, a Marian Golasz aresztowany. Po dwóch latach więzienia udało mu się uciec i pod zmienionym nazwiskiem Teleszyński rozpoczął nowy etap życia. Studia medyczne ukończył w Gdańsku, gdzie przez wiele lat pracował, zyskując sławę świętego ortopedy. Zmarł 26 sierpnia 1985 r. w Gdyni. Został pochowany na Cmentarzu Komunalnym w Sopocie. 12 września 2010 r. na ogrodzonym kościeła pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Zagórze (gdzie w 1916 r. został ochrzczony Marian Golasz) odsłonięto i poświęcono tablicę pamiątkową ku jego pamięci.

5 lipca 1940

Mord hitlerowców. Na wzgórze Gruska, pomiędzy Leskiem a Tarnawą Dolną, hitlerowcy dokonali mordu na 115 Polakach, więźniach wzięcia w Sanoku, w większości skazanych za próbę nielegalnego przekroczenia granicy z

Węgrami. Egzekucję poprzedziła seria krótkich, doraźnych procesów sądowych, kończących się karą śmierci. Z kilkuset złapanych na granicy część trafiła do obozów koncentracyjnych, a los 115 znalazł swój finał w lesie na Grusce. Cudem od śmierci ocalał jeden ze skazanych, 20-letni Jan Schaller, uciekając w trakcie transportu przez dziurę w brezentowej planecie samochodu. Udało mu się znaleźć schronienie u jednej z rodzin w Porazu. Po wojnie w 1947 roku ekshumowano szczątki pomordowanych i pochowano je w zbiorowej mogile na sanockim cmentarzu centralnym. Natomiast w miejscu wydarzenia znajduje się upamiętnienie w formie obelisku z tablicą, na której widnieje inskrypcja: *Zginęli, abyśmy żyli wolni. Na tym miejscu dnia 5 lipca 1940 r. hitlerowcy rozstrzelali 115 polskich bojowników o wolność ojczyzny. Cześć ich pamięci! W XXI rocznicę – Z. B. o. W. i. D.*

Lipiec 1963

Wizyta Mariana Spychalskiego. Na Rzeszowszczyźnie przebywała delegacja rządowa pod przewodnictwem generała broni, ministra obrony narodowej Mariana Spychalskiego. W ramach gospodarczej wizyty Spychalski zwizytował między innymi plac budowy solińskiej zapory oraz zwiedził funkcjonującą już elektrownię w Myczkowcach. W kolejnym dniu na bieszczadzkim szlaku wizyty znalazła się stacja harcerska hufca mieleckiego stacjonująca w Dwerniku. Generał wraz z towarzyszącymi na osobami, w tym między innymi z Władysławem Kruczkim, I sekretarzem KW PZPR w Rzeszowie, uczestniczył w tradycyjnym harcerskim ognisku.

Lipiec 1963

Ratyfikacja umowy. Rada Państwa ratyfikowała umowę podpisaną 22 kwietnia w Moskwie między rządem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej a rządem ZSRR o kursowaniu polskich pociągów tranzytowych na trasie pomiędzy Krościenkiem a Niżankowicami. Dzięki umowie znacznie skróciła się droga kolejowa z Zagórze do Przemyśla. Odcinek przez Krościenko, Chyrow, Dobromil wynosi poniżej 90 km. Do 1963 roku z Zagórze do Przemyśla pociągami trzeba było jechać przez Jasło i Rzeszów. Przejazd „radzieckim” odcinkiem trasy liczącej 44 km stanowił nie lada atrakcję, zwłaszcza dla podróżnych spoza regionu, nie mówiąc już o obywatelach państw Europy zachodniej, którzy bez paszportu i wizy mogli przedostać się na godzinę na terytorium imperium zła. Przejazd obwarowany był wieloma ograniczeniami. Pociąg w Krościenku zatrzymywał się i był skrupulatnie sprawdzany przez radzieckich pograniczników, którzy następnie razem z psami towarzyszyli podróżnym do Niżankowic. Okna w wagonie musiały być szczególnie zamknięte. Ironią losu jest fakt, że tranzyt przez ZSRR, a następnie przez Ukrainę zakończył się z chwilą uruchomienia kolejowego przejścia granicznego w Krościenku. Później kursował skład z Sanoka do Chyrowa popularnie nazywany „Rasputinem”, którego pasażerami byli głównie przemysłowcy z Ukrainy.

11 lipca 1980

Śmierć generała. W Warszawie zmarł gen. Zygmunt Berling, dowódca I Dywizji Kościuszkowskiej w jej pierwszym okresie funkcjonowania. Berling urodził się w

Limanowej, a jego kariera wojskowa i polityczna nacechowana jest wieloma zawirowaniami. Legijonowa przeszłość, między innymi udział w bitwie pod Rarańczą, podczas której dostał się do niewoli rosyjskiej, otworzyła mu w okresie międzywojennym drogę do kariery wojskowej. Brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej i za zasługi w obronie Lwowa otrzymał order Virtuti Militari. Podczas II wojny brał udział w tworzeniu armii gen. Andersa, u którego pełnił funkcję szefa sztabu. Nie wyjechał na Bliki Wschód z armią, a ponad rok później zaczął tworzyć dywizję kościuszkowską w Sielcach nad Oką. Po dotarciu z dywizją pod Warszawę został pozbawiony dowództwa. Po wojnie pełnił szereg funkcji. Był między innymi wiceministrem rolnictwa, a następnie wiceministrem leśnictwa, łącząc tę funkcję z głównym inspektorem ds. łowieckich. Pod koniec lat 60. Berling na kilka lat przeniósł się w Bieszczady. Zamieszkał w domu w Rajskim nad Zalewem Solińskim, w tzw. „berlingówce”. Bieszczady nie były jego osobistym wyborem. O jego pobycie w tym miejscu zdecydowały czynniki polityczne. Razem z żoną prowadził niewielkie gospodarstwo rolne i oddawał się dwóm swoim pasjom – łowiectwu i wędkarstwu. Przez miejscowych został zapamiętany jako uczynny sąsiad, który dzięki swoim koneksjom potrafił załatwić niejedną sprawę. Na rok przed śmiercią wrócił do Warszawy. Ciekawostką jest fakt, że o bieszczadzkim epizodzie Zygmunta Berlinga milczą autorzy jego licznych życiorysów. Ani na Wikipedii, ani w naukowych opracowaniach dostępnych w internecie nie ma o tym słowa.

Wyszukał /ela/

SPÓD ŁOPIENNIKA

MATEUSZ ŚWIERCZYŃSKI



Ostatni wypał

Niedawno, przechodząc koło „Siekierzady”, usłyszałem jak jedna turystka pyta się pana sprzedającego chińskie rękodzieło z napisem „Bieszczady”, gdzie można tu zrobić sobie zdjęcie z wypalaczem, bo to obowiązkowa, a w dodatku niedroga, pamiątka. Pan po głębokiej zadumie stwierdził, że wypalaczy to już chyba nie ma. Smutne to, choć nie do końca prawdziwe.

Co roku jednostka nadzorująca moje nadleśnictwo prosi nas o zinventaryzowanie czynnych wypalów węgla drzewnego. Kiedy rozpoczynałem pracę, czyli jakieś dziewięć lat temu, w odpowiednim okienku tabeli wpisałem dwanaście wypalów, na których użytkowano ponad sześćdziesiąt retort. Z roku na rok wykreślałem kolejne lokalizacje: Jaworzec, Smerek, Łopienka... W tym roku też przyszła do wypełnienia taka tabela. Po zasięgnięciu języka wśród leśniczych okazało się, że na terenie Nadleśnictwa Cisna dymi jeden wypał, w dodatku z dopiskiem „okresowo”. Na naszych oczach odchodzi kawał bieszczadzkiej historii. To przecież bukowe dymy snujące się nad dolinami tworzyły klimat tajemniczości gór, a silni, czarni jak diabły smolarze pijący piwo przed barem byli obowiązkowym obrazkiem Cisnej, Wetliny czy Ustrzyk. Większość słuchanych z otwartymi buziami opowieści w „Siekierze” związanych jest z wypalami i ich pracownikami.

Najczęściej na wypalach pracowali ludzie prości, za to z bar-

dzo zakręconymi życiorysami. Oczywiście, zdarzały się wyjątki, że jakiś profesor czy filozof rzucił wszystko i wyjechał w Bieszczady, aby siłą własnych rąk, przy pomocy skomplikowanych procesów chemicznych, zamieniać kawałki bukowego drewna w drzewny węgiel. Zdecydowana większość smolarzy raczej uciekała przed goniącymi ich problemami, nierządno wyrokami czy innymi zakrętami losu. Podobno najlepiej było po prostu nie pytać, jak się tu znaleźli. Najważniejsze, że ręce mieli silne, a płuca zdrowe. Praca przy sortowaniu węgla nie była ani łatwa, ani czysta. No i charakter musieli mieć twardy, bo przetrwanie zimy w byle jak ogrzewanej budzie stanowiło nie lada wyzwanie.

Obecnie zawodów smolarza powoli przechodzi do historii. Ostatni dymiący u nas wypał stał się swego rodzaju skansenem, o którym pytają ludzie chcący zrobić sobie fotkę z osmolonym chłopem. Przykre to, ale chyba nie ma szans na odwrócenie tego procesu. Produkowany u nas węgiel został wyparty przez chiński lub ukraiński substytut, który z naturalną produkcją wiele wspólnego nie ma. Ale przecież jest tańszy, a koszty grillowania należy optymalizować. Na szczęście są jeszcze gałęzie przemysłu, które wymagają w pełni naturalnego produktu. Kosmetyki, lekarstwa czy przemysł związany z produkcją filtrów jeszcze potrzebują bieszczadzkiego złota. Ale na to wystarczy ten jeden, ostatni wypał.